Nr. 50 Rok 5 Kraków, dnia 10 grudnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



MISTRZ I UCZEŃ

FACHOWE WYSZKOLENIE W JEDNYM Z WARSZTATÓW ŚLUSARSKICH W GENERALNYM GUBERNATORSTWIE

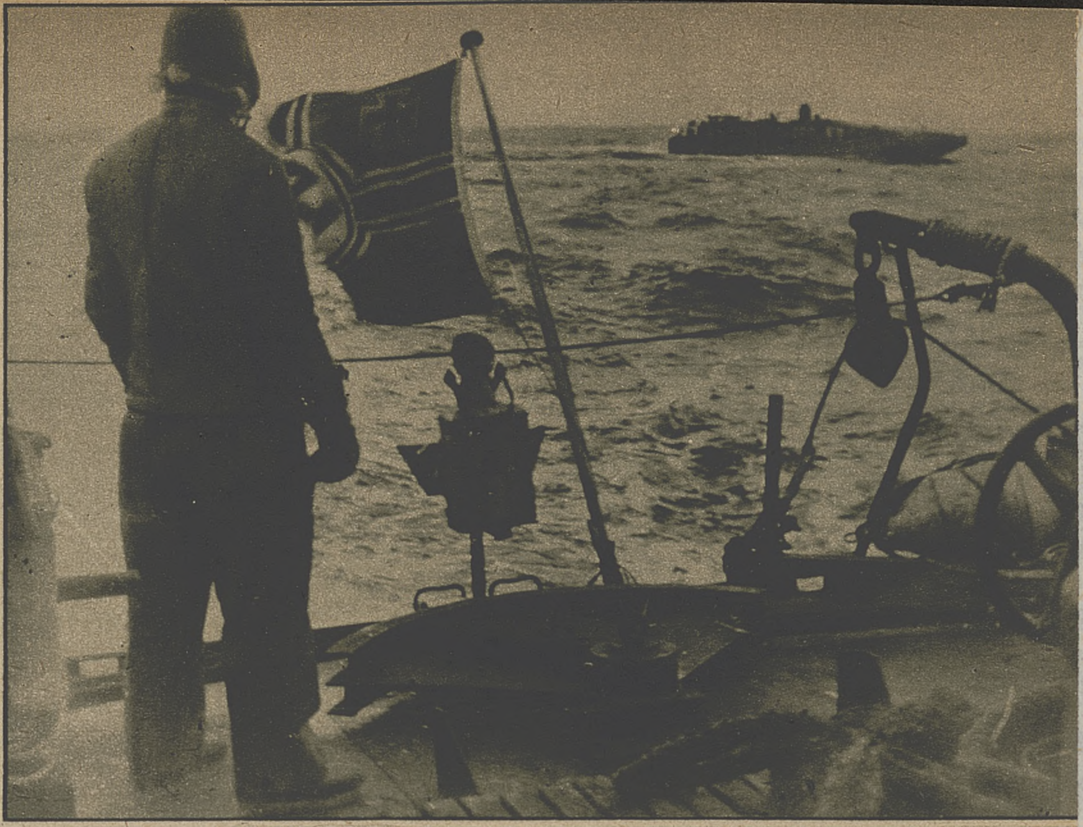
FOT. SCHREMMER

NA JEDNEJ Z WYSP NA BAŁTYKU

Na wyspach Bałtyku obsadzonych przez wojska niemieckie, służba jest niemniej ciężką i odpowiedzialną aniżeli na froncie. Również i tu żołnierze muszą być ustawicznie w pogotowiu zbrojnym i często staczać walki z atakującymi te wyspy okrętami sowieckimi.

Poniżej:
Nadeszła właśnie amunicja, żywność i wszelkie zaopatrzenie dla załogi jednej z wysp. W czasie szalejącej na morzu burzy auta ciężarowe odwożą nadeszłe towary do magazynu.

Na prawo:
Konwój wiozący zaopatrzenie w drodze na wyspy Bałtyku. Każdy okręt zna dobrze swój cel i podąża ku niemu najkrótszą drogą.





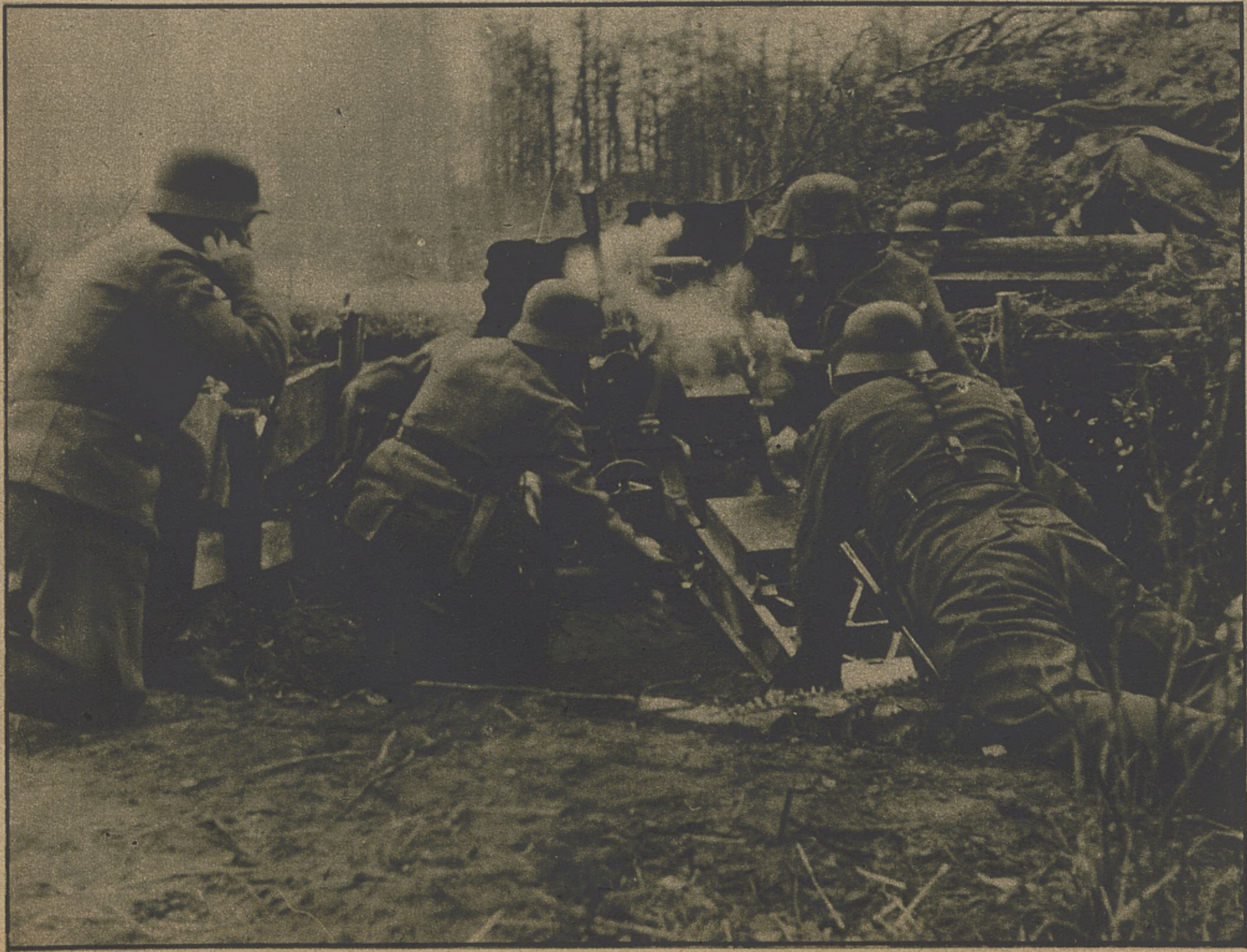


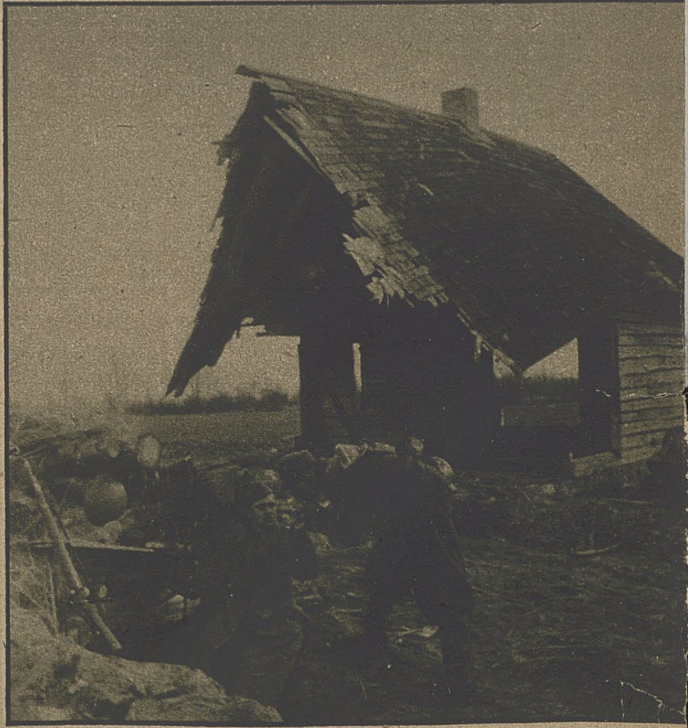


Na lewo:
By drogi rozmiękłe wskutek deszczów jesiennych uczynić zdatnymi do użytku, żołnierze kładą na nie pnie drzewne. W ten sposób będą drogi dostępne dla ludzi i wozów.

Powyżej:
Posterunek ukończył swą służbę [...]towniczą i zostaje zluzowany. Żoł[...] opuszczają swe stanowiska i w[...] do obozu.

Fot: ᛋᛋ-PK



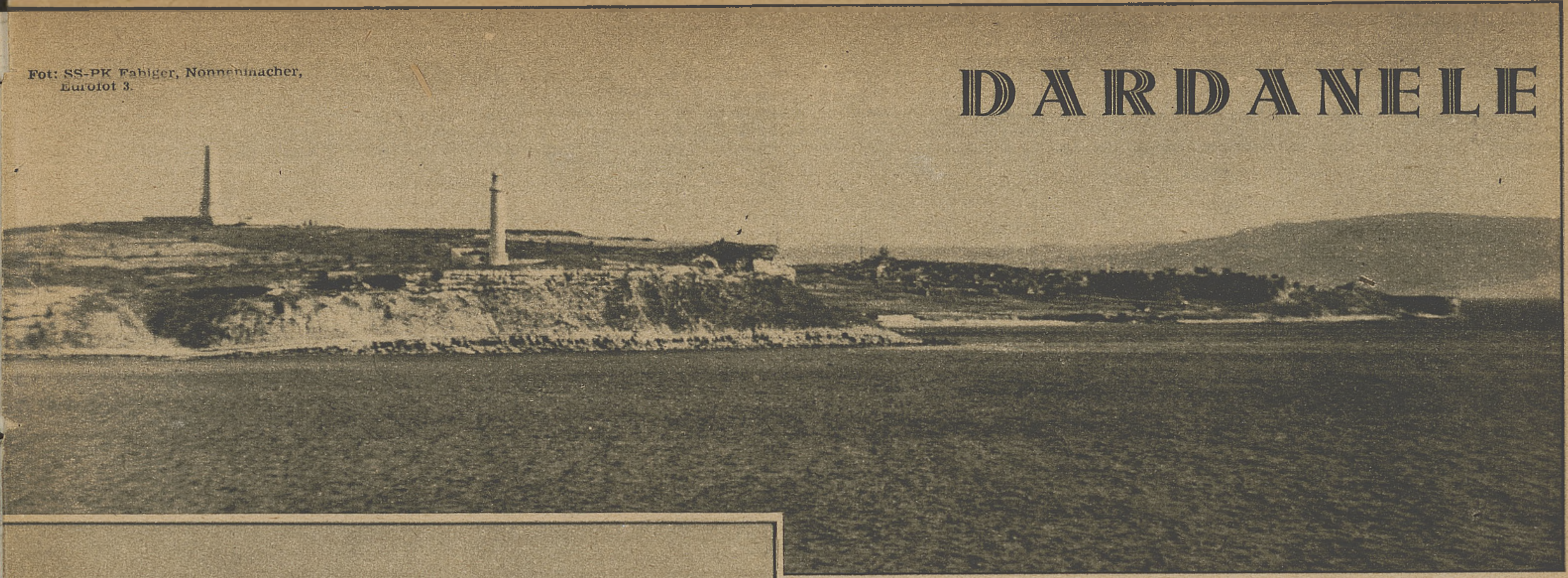


Na lewo:
Często huk dział przerywa pozorną ciszę którejś z wysp Bałtyku. To żołnierze niemieccy odpierają próbę lądowania wojsk sowieckich. Wtedy powietrze drży od wystrzałów, rozlega się szczęk oręża i migoce stal bagnetów.

Powyżej:
Co dopiero ukończono [...]
Zburzona stodoła św[...]
o silnym ogniu granatów[...]
szalał tu przez kilka g[...]
Posterunek niemiecki [...]
obok zgliszcz stodoły [...]
przednią pozycję obserwa[...]

Fot: SS-PK Fahiger, Nonnenmacher, Eurofot 3.

DARDANELE





Cieśnina dardanelska, długości 65 km, szeroka 5—6 km, a na najwęższych miejscach 1¼ km, łącząca morze Marmara z morzem Egejskim, w starożytności zwana Hellespont, jest kluczową pozycją, jeśli chodzi o dostęp z jednej strony do Konstantynopola, a z drugiej do morza Śródziemnego. Dardanele leżały zawsze w polu widzenia polityki rosyjskiej, tureckiej i naturalnie angielskiej. Anglia bowiem zawsze obserwowała zazdrośnie każde przesunięcie sił na morzu Śródziemnym.

Od r. 1356 w posiadaniu Turcji, Dardanele były po wojnie krymskiej zamknięte dla Rosji, ale Rosja nie zaprzestała ekspansji z morza Czarnego na morze Śródziemne, dokąd droga prowadziła przez Dardanele. W czasie pierwszej wojny światowej usiłowała flota angielsko-francuska zająć Dardanele. Ta wyprawa na Galipoli miała dla Churchilla katastrofalny wynik. Na konferencji w Montreux w r. 1936 udało się Turcji zrzucić pęta traktatu pokojowego i uzyskać znowu prawo zwierzchnictwa nad Dardanelami. W sprawie przejazdu okrętów wojennych przez cieśniny miały miejsce osobne układy. Odtąd mogły używać cieśnin tylko okręty wojenne krajów sasiednich. W ten sposób uzyskała Rosja sowiecka pełną swobodę poruszania się, podczas gdy okręty wojenne innych krajów praktycznie zostały wykluczone.

Moskiewska konferencja z października 1943 r., na której Eden reprezentował Anglię przyniosła nowe wydanie i potwierdzenie pretensyj sowieckich do Dardaneli.



U góry:

Półwysep Galipoli. Tutaj dokonali Anglicy w czasie pierwszej wojny światowej na polecenie Churchilla nieudałego lądowania. Na wzgórzu widać pomnik wybudowany ku upamiętnieniu tych walk.

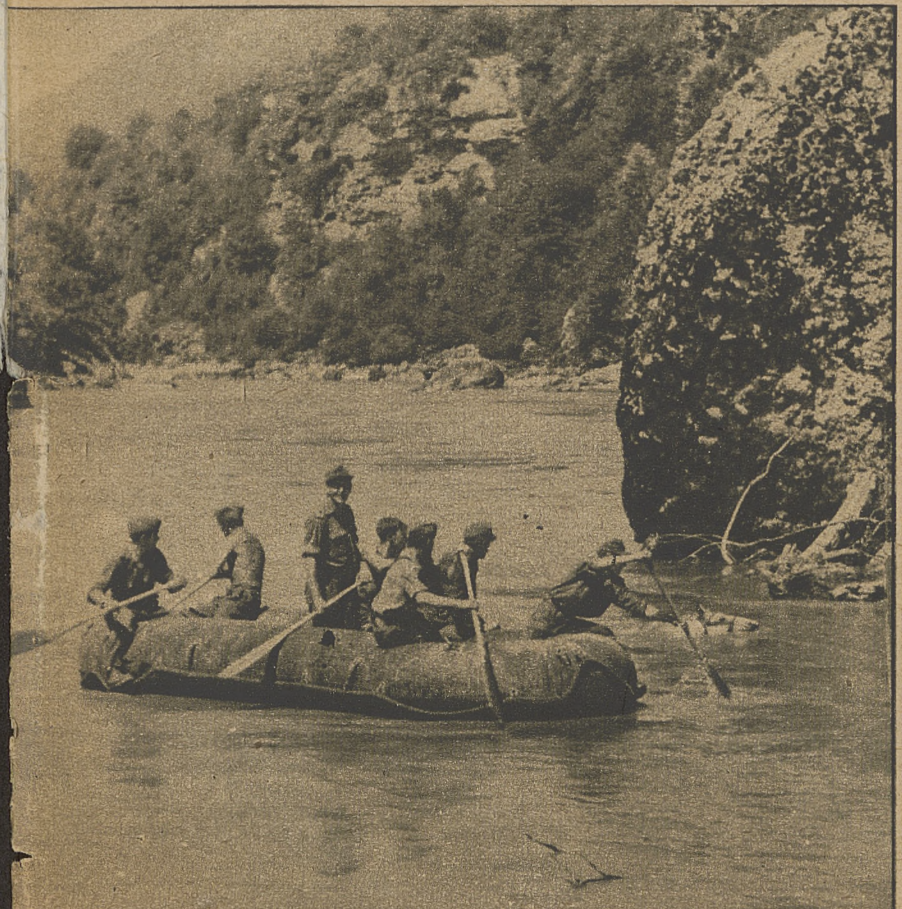
Na lewo u góry:

Miasto Galipoli na półwyspie tej samej nazwy, wyciągniętym wzdłuż Dardaneli jak język ku morzu Egejskiemu.

Na lewo:

Dardanele i Bosfor są kluczową pozycją między Europą a Azją i były często przedmiotem sporów i walk. Są też jedyną drogą prowadzącą z morza Czarnego do Śródziemnego.







Na lewo:

NA BAŁKANACH

Niemieccy strzelcy górscy przeprawiają się wraz z końmi na drugą stronę wąwozu górskiego głębokiego na 600 m.

Powyżej:

ZNISZCZONY SOWIECKI BOMBOWIEC

Zestrzelony przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą, spadł w płomieniach na ziemię.





Na lewo: Skraplanie ulic Ankony nowoczesnymi samochod sikawkami, to charakterystyczny, częsty obrazek ulicy mi...



Fot: Eurofo

W POGONI ZA WODA

Woda — potężny żywioł, błogosławieństwo świata i czynnik jego powolnego niszczenia zarazem, jest dla nas, Europejczyków, czymś tak bardzo powszednim i naturalnym, że nawet na myśl nam nie przychodzi pytanie — co by to i jak by to było, gdyby tej wody brakowało?

Rola, łąki, pastwiska, gospodarstwo, przemysł, to wszystko zawisło od wody, i dlatego też zdumieni i zaciekawieni stajemy na pograniczu Azji i Europy, w Turcji, wobec tamtejszego braku wody w przyrodzie. Nieskończenie ciągnące się kamieniste równiny i puste, obumarłe zda się, pogórza; stepy lichą trawą lub kamiennym pyłem pokryte; łyse, nagie wyżyny albo płaskowzgórza czy oderwany i rozdrobniony górski uskok, oto krajobraz, godny miana księżycowego prawie, ogromna część Turcji, wyżyna Anatolska, bezodpływowa na południowych swych krańcach, z mnóstwem wysychających, słonych jeziorek w terenie. Współczesna Turcja podjęła też z całą energią, godną wielkiej sprawy, walkę o wodę. Przejęła ona niewdzięczne dziedzictwo na tym punkcie potrzeb narodowych, bo rządy sułtanów nie dbały najzupełniej o jakiekolwiek programowe podejście do tej tak zawsze palącej w państwie kwestii.

Długotrwałe, systematyczne wycinanie drzewostanu w górach, wzmogło jeszcze klęskę braku wody do ostatecznych granic. Kraina kwitnąca w starożytności, podupadła też ogromnie na tych obszarach, dawne, odwieczne studnie legły w zapomnieniu, nowych nie starano się zakładać — bo i po co, zdaniem sułtańskich ministrów? Czas karawan minął, a ludność — niech sama sobie radzi jak może i umie... Tym więcej, że takie studnie, to nawet i rozsadniki chorób zakaźnych, malarii, tyfusu... Czas biegnął, radzono też sobie istotnie jak umiano. Ale nie potrafiono oczywiście bezwodnych pustkowi zamienić w kwitnące ogrody... Ku temu celowi potrzeba by było żmudnych prac i urządzeń nawadniających. Wszakże Nowa Turcja serdecznie i gorliwie jęła zaradzać złu. W poszczególnych punktach kraju powstały niby farmy wzorowe, oparte na przykładzie zainicjonowanej przez Atatürka obok Ankary, w dobrach Cistlik. Tu czyniono pierwsze próby nad powtórnym zalesianiem, dostarczaniem wody ziemi, szukano sposobów na regularną dostawę życiodajnej wilgoci po macoszemu przez naturę potraktowanym obszarom. Skarb kraju, rzeka Kisil-Irmak, największa z niewielu ogółem tureckich rzek, kanałami jęła doprowadzać wodę bliżej położonym okolicom stepów, kędy też na nowo jęło pulsować życie... Poczęto odkopywać starodawne, pół-zasypane studnie, naprawiać zdatne jeszcze do użytku, niektóre o dużej piękności architektonicznej, zorganizowano dowóz czystej wody do picia w zamkniętych naczyniach na miejsca najdotkliwiej jej brak odczuwające, powołano do stałej służby zawodowej licznych woziwodów z dwukołowymi wózkami i osiołkami.

Powyżej:
Anatolijski krajobraz górski deprymuje swą pustką i głuszą. Kamienny płaskowyż wśród bezroślinnych wzgórz, milami ciągnący się, oto skutki braku wody w tej części kraju.



Typ mieszkanki Anatolii, niosącej wodę do domu w tak popularnych ku temu celowi puszkach z firmowego oleju Shell'a, zwanych tutaj „teneke".



Gwarantowanie czysta i świeża woda do picia w balonach czy też gąsiorach szklanych, chronionych przed rozbiciem w czasie transportu „specjalnym" opakowaniem.

U góry w kole:
Daleką drogę odbyć musi niejednokrotnie woda czerpana ze studzien Anatolii. Bardzo też przydatnymi okazują się i tutaj blaszanki z olejów Shell'a no i... osiołek.

Poniżej:
Zabytek dawnych dziejów, stara studnia na karawanowym szlaku ku Morzu Egejskiemu, do dnia dzisiejszego służąca wciąż jeszcze potrzebom mieszkańców z okolicy.



W ATELIER ARTYSTY





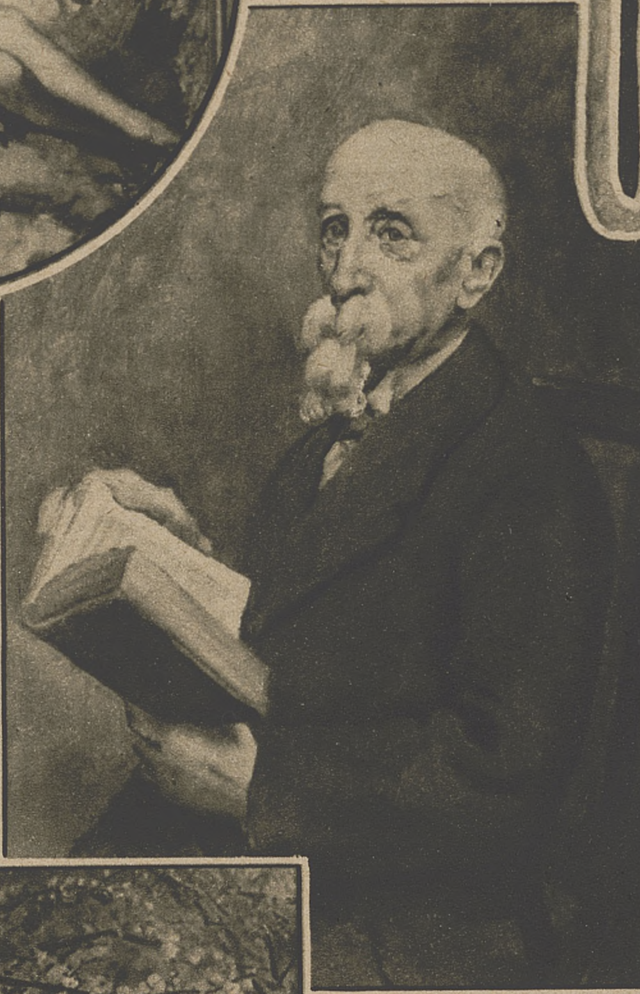


Powyżej:
„Półakt leżący" — olejny.

Na lewo:
Obraz olejny „Rozmowa".

Na prawo:
Profesor Stanisław Żurawski przy pracy.

Poniżej:
„Stary aptekarz" — olejny.



W PRACOWNI PROFESORA STANISŁAWA ŻURAWSKIEGO

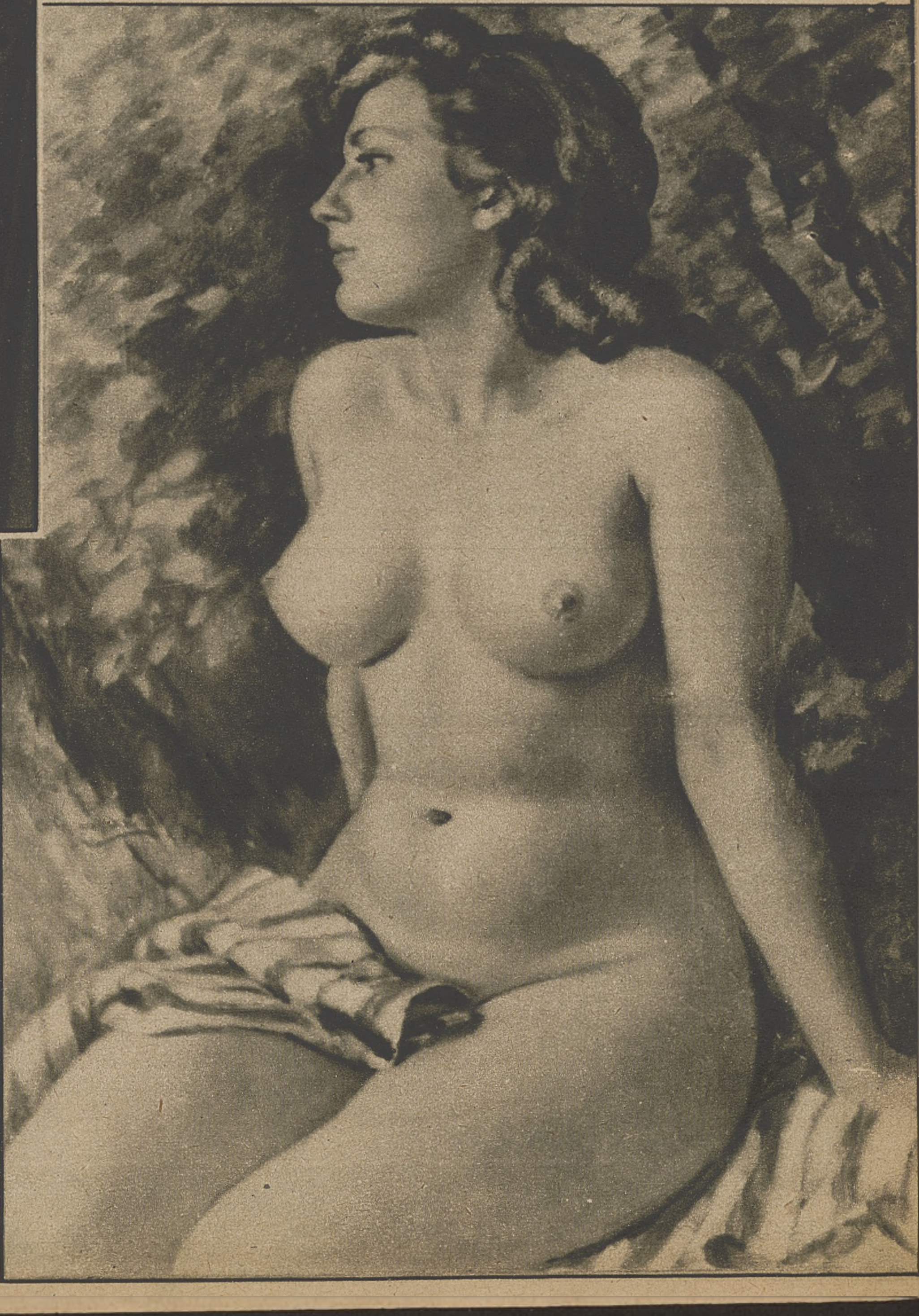
St. Żurawski jest po znakomitym mistrzu ciała Weissie jednym z pierwszych w Krakowie malarzy piękna kobiecego.

Syn Krosna, od dzieciństwa jednak związany z Krakowem, kształcił się w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, którą ukończył w 1912 r.

Uczeń tej miary artystów jak Mehoffer i Weiss idzie początkowo śladami swych mistrzów. Ich przemożny wpływ ciąży długo nad jego twórczością. Dopiero wyjazd za granicę i podróż przez Wiedeń, Rzym, Drezno, Berlin do Mekki Artystów Paryża, oraz związane z tym studia, stanowią początek zwrotu w twórczości Żurawskiego. Wrażenie jakie wywarła na nim sztuka francuska, szeroko na piękno otwarte oczy, wytężona praca nad sobą w połączeniu z wyniesioną z Krakowskiej Akademii dokładnością rysunku przyczyniają się do znalezienia własnej drogi. Dominującą cechę twórczości Żurawskiego stanowi przede wszystkim romantyczne podejście do rzeczywistości, połączone z szukaniem wokół piękna. Zalety te wraz z wrodzonym smakiem i umiarem artystycznym, bystrą obserwacją i poczuciem barwy składają się na pogodne jego dzieła. Akty, portrety i pejzaże Żurawskiego, zdradzają głębokie przemyślenie i wielką umiejętność kompozycji. — Również pełne wdzięku jego kompozycje osobowe, portrety i pejzaże zdradzają realizm podejścia wykluczający wszelkie nowinkarskie a nie zawsze udatne kierunki w malarstwie. Dla Żurawskiego nie ma twarzy nienadającej się do malowania. Potrafi w każdej twarzy znaleźć i wydobyć najistotniejsze cechy, a również i ręce, doskonale wykańczane, grają w całości wybitną rolę, pomocną w malarskiej charakteryzacji danej osoby. Ciepłe w tonacji, przesłonecznione pejzaże prof. Żurawskiego zdradzają wielkie ukochanie ojczystej przyrody.

Nie obce jest mu jednak i malarstwo religijne. Jego „Św. Antoni" zdobi kaplicę kościoła św. Szczepana w Krakowie, a wiele kompozycji umieszczono w innych kościołach.





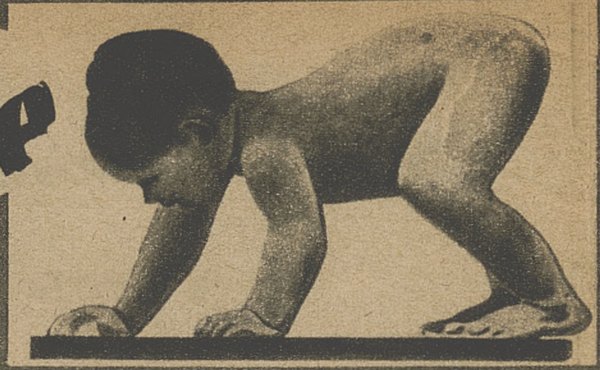
Na lewo:
„Siostry" — olejny.

Na prawo:
„Półakt" — olejny.

Fot. i tekst W. W. Kraków

Nie koniecznie na czterech łapach







NA CZWORAKACH...
Ryciny porównawcze sposobu trzymania głowy, więc i twarzy u nie umiejącego jeszcze chodzić dziecka i młodego szympansa. Inaczej też układa się u dziecka i małpy tylna część korpusu na skutek różnej długości nóg.

Fot. Eurofot



NIBY WĘDROWIEC LUB PIELGRZYM...
...kroczy miarowo pingwin, trzymając się niemal pionowo dzięki osadzeniu nóg bardzo w tyle korpusu, co ułatwia mu nurkowanie w wzburzonym morzu



CZEGO BY PRAGNĄŁ OBYWATEL!
Kangurowi stanie na tylnych nogach nie sprawia trudu. Ma je specjalnie wykształcone przez naturę do długich skoków, prócz tego podpiera się jeszcze grubym i mocnym ogonem.

PIKUŚ PIĘKNIE PROSI...
Może nauczony przez swą panią, a może odruchowo zupełnie, służbiście pręży się, łykając ślinkę, kudłaty Pikuś, gdy zwęszy ulubiony przysmak.

Chciano od wieków dlatego, między innymi naturalnie „podobieństwami", wyprowadzić złośliwie pochodzenie rodzaju ludzkiego od małp, — że i małpa przecież chodzi nie zawsze na czterech odnóżach... A jeżeli brać już pod uwagę sposób „chodzenia" małego dziecka, jak się to zwykło nazywać raczkującego, no to już absolutnie nie ma żadnej różnicy!

Za pozwoleniem, co innego pochodzenie, a co innego też rozwój gatunków. Bo nie tylko akuratnie małpy paradują sobie niekiedy na dwóch łapach! Ale wracając do małpy, popatrzmy, jak też trzyma idąca na czterech kończynach małpa swą twarz? Ma ją zwróconą wprzód, bo stworzona jest do chodu na czworakach. Dziecko natomiast, nim zacznie chodzić, poruszając się na rączkach i nóżkach po ziemi, ma głowę pochyloną w dół i tym samym twarzyczkę skierowaną ku ziemi, bo ten sposób chodzenia jest tylko czasowym, nie wykształconym jeszcze „modus" poruszania się, atawizmem po ssakach w ogóle, tutaj koniecznym ze względu na słabo w stosunku do całego ciałka rozwinięte jeszcze nóżki.

No więc jakże będzie z „podobieństwem" wobec tego?

Faktem jest, że nie tylko małpy umieją chodzić na sposób ludzki. Zaznaczyć natomiast wyraźnie należy w tym miejscu, iż chodzenie takie bywa u zwierząt chwilowym odruchem dyktowanym przystępem dobrego humoru, istotną potrzebą lub jest wynikiem tresury. Stale i zawsze na dwóch nogach chodzi pośród ssaków tylko człowiek. Ptaki — powie ktoś — chodzą też nie inaczej... Prosta na to odpowiedź: A jak mają chodzić? Przednie odnóża wykształcone są w skrzydła. Zostają im tedy tylne, i na nich też poruszają się po ziemi.

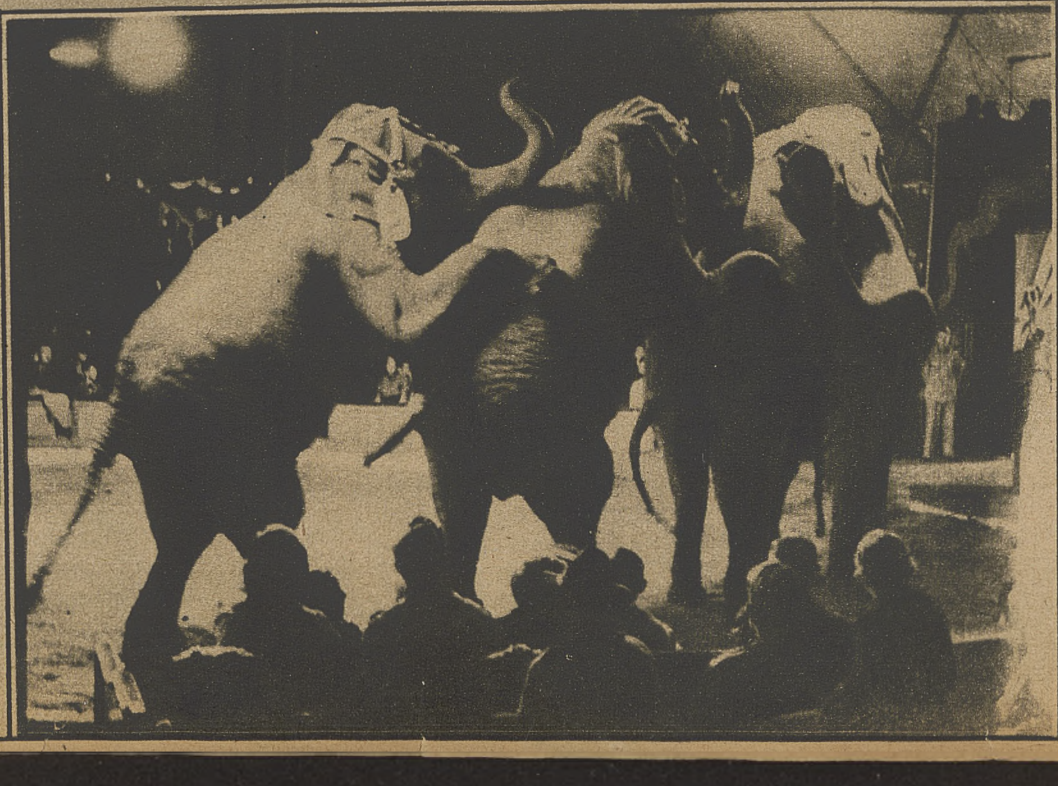
Kwestia zaś tego „chodu" w świecie zwierzęcym powinna raczej otrzymać termin poruszania się, stawania itp., bo pewnym, zrównoważonym, szybkim i przede wszystkim jedynym naturalnym sposobem ruchu z miejsca na miejsce chód ów nie jest.



ZA PANIĄ MATKĄ...
Rodzinka niedźwiadków zadowolona z ciepłych promyków słońca, baraszkuje w Zoo, zarzucając chwilowo z grymasów chód na czterech łapach.



GOTOWY DO ATAKU
Zwykle „chadza" goryl na czterech kończynach. Do rozprawy z przeciwnikiem przybiera postawę „stojącą", by mieć wolne do walki muskularne ręce przednie.



NA GALOWYM PRZEDSTAWIENIU
Dziw tresury cyrkowej, ciężkie słonie w marszu na dwóch nogach wokół areny. Że marzą o jaknajszybszym końcu „numeru", można być przekonanym.



BIADA RYWALOWI!
W okresie zalotów walczą łosie zapalczywie ze sobą, stając w ferworze pojedynkowym o względy wybranki w rycerskiej postawie szermierczej...



Dziewczyna XX wieku

Tekst TE-EM. rys. MK.

— Poproszę kawę i ciastka, jak zwykle — rzucił Zygmunt.

— Proszę bardzo.

Spojrzał sponad płachty gazety na oddalającą się kelnerkę.

— Jak zwykle. Tak, jak zwykle od miesiąca. I co mnie napadło, psiakrew, aby przez przeszło cztery tygodnie przesiadywać w tej maleńkiej kawiarence przy niezbyt smacznej kawie i nie bardzo słodkich ciastkach. Przez tyle dni codziennie najmniej godzinę czasu tracę . . .

Zygmunt był wściekły. Ażeby po prostu najzwyczajniej w świecie nie walnąć pięścią w stół ze złości, przysunął gazetę i spróbował doczytać do końca jakiś artykuł.

W tej chwili zgrabna kelnerka postawiła przed nim kawę i ciastka.

— Proszę bardzo.

Odburknął coś pod nosem, chociaż właściwie miał zamiar podziękować uprzejmie i — uśmiechnąć się.

— Ona ma bardzo melodyjny głos. — Już zapomniał o czytanym przed chwilą artykule i znowu myślał o niej. — Zwykła sobie kelnerka. No tak: właściciele restauracji starają się dobierać przystojny personel. Estetyka, piękno itede . . . itede . . . Stek głupstw, bo świat tak chce, bo dwudziesty wiek tak chce, a ty tymczasem, bracie, tracisz rozum dla jakiejś tam gąski, która podaje ci kawę. Codziennie, właśnie codziennie — od miesiąca.

Popił łyk kawy, zapalił papierosa.

— I co zyskałem przez ten miesiąc? Nic. A co straciłem? Ileś tam godzin, w ciągu których mógłbym napisać coś porządnego, no i trochę forsy na tę zabarwioną wodę i ciastka. No i najważniejsze: spokój. Tak: spokój. Zachowuję się, jak siedemnastoletni sztubak, a nie jak zrównoważony 30-letni literat, zdobywający popularność. Ma rację redaktor Gołębski, że się wścieka na mnie. Bo zapowiedzieć, że ukaże się powieść Zygmunta Ostoi w jednym z najbliższych numerów i nie zacząć w jednym z najbliższych numerów drukować tej powieści, to naprawdę skandal. Skandal ze strony autora. Ale cóż ja jestem winien, — próbował się usprawiedliwić, — kiedy nie przychodzi mi do głowy żadne uczciwe zakończenie. Dwa, trzy rozdziały . . .

W tej chwili przeszła obok kelnerka, dla której Zygmunt — no powiedzmy — stracił głowę. Poplątały się myśli. Po chwili znów były o niej:

— Nie tylko, że nie rozmawiałem z nią ani razu, ale . . . ale nie wiem nawet, jakie ma imię. Musi mieć śliczne, skoro sama jest . . . Stanowczo muszę coś zrobić, aby ją poznać. Dziś — właśnie dziś. Dosyć tych studenckich manier. Ona mnie przez ten miesiąc zauważyła i nie powinna obrazić się, jeśli zechcę zamienić z nią kilka słów.

Lokal był pusty. Dziesiąta godzina. Może chcą zamknąć, a on tu sterczy. Machnął zniecierpliwiony ręką.

— Jasne jak len włosy, a przy tym lazurowe jak niebo oczy. Cudne oczy. Takie smutne.



Zaciągnął się głęboko dymem papierosa i w nagłej decyzji odezwał się do przechodzącej kelnerki.

— Pani się nie obrazi, prawda? Tylko chwilę chciałbym... muszę coś pani powiedzieć.

Serce waliło, jak spłoszony ptak, słowa ledwo przeciskały się przez krtań.

Obrzuciła go spojrzeniem. Przystanęła. Uśmiechnęła się kącikami ust.

— Sądzę, że chce mi pan coś powiedzieć już od miesiąca? — Usiadła naprzeciw przy stoliku.

Skąd ona wie? I w ogóle dlaczego . . . Tak, te słowa ośmieliły Zygmunta, a raczej zamroczyły go. Bo zasadniczo nie chciał jej nic powiedzieć, szukał tylko sposobności do pierwszej rozmowy. A przecie powiedział jej — wszystko. Wszystkie swoje myśli, wszystko to, czego nie chciał i może nie powinien mówić. Gdy skończył, przez chwilę milczała, potem powiedziała wolno.

— Zatem wyznanie miłości . . . jeszcze przed poznaniem.

— Tak, racja. Ja nawet pani nie znam. — Czuł, że się rumieni. — W ogóle nie wiem, co się ze mną dzieje. Rzeczywiście zachowuję się, jak smarkacz, czy jak wariat . . .

— Ale tego, co pan powiedział przed chwilą, nie odwołuje, prawda?

— Nie . . . nie . . . absolutnie. To była chwila szczerości... wbrew woli po prostu. Ja wiem, że nie tak zdobywa się kobietę, . . . że narażam się na śmieszność.

— Pan chce mnie zdobyć . . . ha . . . ha . . . Taką zwykłą kelnerkę, jak ja . . .

— Kelnerkę . . . cóż, dziś takie czasy.

— Więc może pan sądzi, że jestem jaką zdegradowaną przez wojnę właścicielką majątku, czy . . .

— Proszę nie kpić.

Jakimś dziwnym głosem powiedział te trzy słowa, że zamilkła. Spojrzała mu w oczy.

— Ja nie kpię, proszę pana. Znam za dobrze pana książki, pana dzieła, aby się odważyć na drwiny.

— Więc zna mnie pani?

— Któż pana nie zna? Dzięki temu, że pan tu u nas przesiaduje, mamy stale pełno gości. Nie o to jednak chodzi. Proszę mi wierzyć, że . . .

— Nawet nie wiem, jakie ma pani imię — przerwał.

— Aneta.

— Śliczne . . . takie, jak pani.

— Komplement godny sławnego literata. Tylko nie każdy może być sławny, niestety.

— A pani chciałaby?

— Pewno. To musi być bardzo przyjemne, kiedy ludzie wskazują palcami i mówią: „popatrz, to ta sławna literatka”, albo gdy czytają książki . . . Gdy zapraszają na różne rauty, w ogóle, kiedy się czuje, że się jest innym od otaczających ludzi.

Była śliczna w swej dziecięcej naiwności.

— Tak, to bardzo przyjemne — potwierdził poważnie. — A pani chciałaby pisać i . . .?

— Przecie ja piszę — wyrzuciła z siebie szybko. Zarumieniła się. Długimi rzęsami wstydliwie nakryła błękity oczu.

— Pani pisze?

— Tak — — — ale początkująca literatka. Pan wie, jakie to są początki. Wystawanie pod drzwiami redakcji, zapisywanie niezliczonych ilości papieru, który pochłaniają smocze kosze panów wydawców, czy redaktorów.

— Tak, to — to nie jest wcale przyjemne. I bardzo trudno samemu tak bez protekcji.

Aneta spojrzała na zegarek.

— Musimy już iść. Ten lokal zamykamy o jedenastej. Odprowadzi mnie pan?

— Z chęcią.

Wyszli. Noc, latarnie — ulica wielkiego miasta.

— Tak, bardzo trudno. Nawet, gdy się ma naprawdę talent.

— Ja już piszę dawno — mówiła Aneta, wsunąwszy delikatnie rączkę pod ramię Ostoi. — Cóż, kiedy dotąd nikt mi nie powiedział tak naprawdę, czy jest sens . . .

— — — — — — — — — — — —

Oczywiście, jak powinno być w noweli, Zygmunt Ostoja, autor wielu poczytnych powieści ofiarował się oceniać utwory Anety, kelnerki z małej kawiarenki. Kiedy? Chociażby jutro. Kobieta jest przebiegła, Aneta też przebiegła, nakierowała rozmowę w ten sposób, że wreszcie wynikło z niej, iż najlepiej byłoby to zrobić od razu... dzisiaj . . . Na zadatek ich znajomości. Gdzie? Aneta ma maleńki pokoik. Tak, rzeczywiście — najlepiej, tym więcej, że Ostoi nic a nic nie chce się spać, a oczy Anety mają błękit nieba . . .

— — — — — — — — — — — —

— Niektóre szkice, nowelki są całkiem udane. Widać w nich zacięcie, talent. A powieść „Dusza Aliny” całkiem „możliwa”. Całkiem. Warto by nią zrobić początek.

— Warto by . . . ale trzeba mieć protekcję.

Usta Anety są jak świeże wiśnie . . . jak dojrzałe wiśnie. I tak blisko jego ust. Wystarczy . . . tak, o tak. Pocałunek, ich pierwszy pocałunek. A jeszcze niedawno Zygmunt przedstawiał sobie wszystko w tak czarnych kolorach.

— Postaram się o to, aby „Nasz Kurier” wydrukował najpierw kilka nowel, a potem, kiedy czytelnicy przyzwyczają się do nazwiska nowej autorki, pójdzie „Dusza Aliny”. Tak będzie dobrze, prawda?

— I ja od miesiąca chciałam ci coś powiedzieć.

Dwa pocałunki w ciągu nocy, to nie dużo.

— — — — — — — — — — — —

W dobrej noweli musi być logiczna akcja. Szukajmy jej więc i my.

Dajmy na to: Zygmunt Ostoja nazajutrz z teczką wyładowaną rękopisami Anety, zapukał do pokoju redaktora Gołębskiego.

— To pan? No, nareszcie z swoją powieścią. — Redaktor Gołębski przywitał serdecznie Ostoję.

— Jutro dam całość na pewno. Tymczasem jednak.

I w ciągu dwudziestu dwu minut opowiadał o nowym talencie. Niezwykły, oryginalny, niecodzienny . . . w ogóle jej nowele zrobią furorę, „Nasz Kurier” na pewno będzie musiał zwiększyć nakład. I można przy pierwszej noweli, czy przed ukazaniem się pierwszej noweli dać notatkę, że talent nowej autorki odkrył znany i ceniony powieściopisarz Zygmunt Ostoja . . .

Nie potrzeba dodawać, że w najbliższym numerze ukazała się, dowcipnie zareklamowana nowela Anety.

— — — — — — — — —

Czyż byśmy chcieli zakończyć już naszą nowelkę? Nie, jeszcze nie. Pomińmy to całkiem, czy Zygmunt, tak jak obiecał, oddał redaktorowi Gołębskiemu w oznaczonym terminie swoją powieść, pomińmy nawet to, jak Aneta zdobywała popularność i nie mówmy nawet, z jakim entuzjazmem przyjęli czytelnicy jej pierwszą powieść.

Zatrzymajmy się przy fakcie — na chwilę — kiedy Zygmunt postanowił, że dziś wieczorem musi oświadczyć się Anecie.

— Przecież ja ją kocham. I zdaje mi się, że nie jestem jej obojętny.

Aneta już nie była kelnerką. Odnajmowała dwupokojowe mieszkanie przy „główniejszej” ulicy.

„Przyjdę dziś wieczorem, bo mam ci coś do powiedzenia — napisał na bileciku. — Oczekuj mnie o ósmej.”

— — — — — — — — — — — —

Stop. Cóż nas obchodzi, co przeżywał Zygmunt przez czas, który go dzielił od owej ósmej godziny. Poznaliśmy dokładnie Ostoję w kawiarence, więc możemy sobie wyobrazić, jakich mógł doznawać uczuć dzisiaj.

Szukajmy „pointy” dla naszej noweli. Tak — szukajmy. Rozpędziliśmy się w pisaniu, doszliśmy dotąd, staraliśmy się być oryginalni, więc nie wolno nam teraz „spartaczyć”.

Już wiemy. Zakończeniem jest list Anety, jaki zamiast niej zastał w mieszkaniu o godzinie ósmej wieczorem.

„Zygmuncie. Czy przypominasz sobie, że dosyć dawno temu powiedział ci jeden z twoich znajomych, że w kawiarence „Pod tulipanem” jest jedna ładna, przystojna kelnerka? Tak — przypominasz sobie. To świetnie. Poszedłeś, zwróciłeś na nią uwagę i — ponoć zakochałeś się.

Dziś ci muszę wyznać, że to ja namówiłam twego znajomego, aby ci o tym powiedział. Nie byłam przedtem kelnerką. Byłam początkującą literatką, która w żaden sposób nie mogła się wybić. A ponieważ, jak zresztą mówiłeś mi o tym, mam bardzo bujną fantazję, zastawiłam sieci na ciebie. Zostałam kelnerką. Ty mnie „zaprotegujesz”. Czekałam cierpliwie, aż . . . wpadłeś w sidła. Ponieważ jesteś



pisarzem, więc nie tłumaczę ci wszystkiego dokładnie, myślę, żeś już wszystko zrozumiał.

Tylko chciałabym, abyś zrozumiał jeszcze jedno: że nie kocham cię i że dlatego bez żadnych szans będą twoje jakiekolwiek starania, aby zmienić moją decyzję, która brzmi: nie spotkamy się więcej, co najwyżej na łamach któregoś z czasopism.

A może zrobimy wyścig, kto w ciągu roku napisze więcej powieści i uzyska więcej wydań?

Dziękuję ci za wszystko i obiecuję za dziesięć lat dać ci trzeciego całusa — Aneta.

P. S. Gdy się ma trzydzieści lat, nie warto po sztubacku zakochać się w kelnerce”.

Róża i Angelika

Miałem siedemnaście lat, gdy wybrałem się po raz pierwszy na wędrówkę do Włoch. Świat widziany odurzał mnie, zadziwiał, podnosił i poniżał jak na złotej huśtawce. Ale ja chciałem go wznieść wyżej, dać mu bodźca, aby się poruszał według moich życzeń i marzeń. Świat jednak był stary i mądry, igrał z surową powagą moich młodych lat, wygnał ze mnie dumę moją, serce przepełnił słoneczną pogodą i uspokoił wzburzoną krew.

Widziałem na mojej wędrówce wiele osobliwości, szaleniec jakiś deptał mi po piętach; teraz lasy zamieniły się na zielone pustkowia, szumiały pieśń jesienną. Żniwa były już ukończone, ale pola pachniały jeszcze chlebem. Złotem spływały wieczory na brzegu nocy, która ciepło i łagodnie ogarniała ziemię, rozprzestrzeniała wonności, zapalała gwiazdy, przywoływała księżyc i oddychała macierzyństwem.

Jednego dnia podróży, zanim doszedłem do rzeki, znalazłem na środku drogi okrągły chleb, który prawdopodobnie zgubiła jakaś wieśniaczka lub dziecko. Ponieważ byłem głodny, a pieniędzy miałem mało, — przed godziną musiałem uciekać przed klątwami jakiegoś chłopa z pola zasianego grochem, dokąd mnie zapędził głód — wziąłem chleb jako podarunek dobrotliwych bogów, napiłem się wody z krystalicznego źródła i byłem szczęśliwy jak nigdy. I przez jeden chleb! Śpiewając udałem się dalej w drogę, ku miastu.

Ponieważ nie mogłem się tam zatrzymać, opuściłem miasto późnego popołudnia. Mój cel leżał po drugiej stronie Alp i zwał się Italia. Kotlina wśród gór dymiła, pola parowały, pagórki obrosłe winem grały kolorami czerwonym i lila. Lasy powoli zmieniały barwę na złotą, dźwięki dzwonów kościelnych zagłuszyły muzykę syren fabrycznych.

Tam w pobliżu pagórków leżały wielkie tkalnie. Był wieczór. Po pracy szły dziewczęta wzdłuż rzeki do swoich wiosek, szesnastolatki i siedemnastolatki, którym życie już teraz grało starą piosenkę: zarobić pieniądze. Byłem znużony, więc odpoczywałem przy drodze na trawie. Obok mnie przechodziły dziewczęta ogarnięte, jak zawsze w młodych latach, przeczuciem miłości, której pragnęły. Pracowałem dotychczas w fabryce, gdzie pokochałem dziewczynę. Gdy stałem przy maszynie, czułem w sobie jakąś radość, słyszałem wewnętrzne śpiewy i dźwięki, jasne odgłosy miłości. Mechanicznie wykonywałem ruchy rąk, obcy i daleki myślami od mojej pracy i, podczas gdy wokoło mnie rozbrzmiewały huki i trzaski maszyn, wsłuchiwałem się w wewnętrzny śpiew i często zachodziło niebezpieczeństwo, że zostanę pochwycony przez błyskawiczną piłę. Jednak intuicja, jaką kierują się lunatycy, gdy w nocy biegają po gzymsach dachów, uchroniła mnie w ostatniej sekundzie od nieszczęścia.

Ale to minęło. A potem pociągnął mnie zew przestrzeni i przygód. I teraz leżę oto na zielonej murawie nad rzeką i spoglądam na przechodzące robotnice fabryczne. Szły obok mnie pojedyńczo lub parami, z uśmiechem na ustach lub tępo spoglądając przed siebie w wieczorną poświatę, w niebo, na którym chmury złociste budowały schody wiodące w nieskończoność.

Dalej dziewczęta, naprzód! Rozpierająca piersi młodość, kołyszący się krok, włosy ciemne i jasne, życie delikatne, czułe! Piersi skakają jak baranki na wielkanocnej łące. Podniosłem się i pomaszerowałem dalej. Przede mną szła lekkim, tanecznym krokiem siedemnastoletnia dziewczyna. Szybko dopędziłem ją. Ujrzałem bladą, łagodną twarz, twarz Madonny, spojrzenie wdzięczne. Spoglądała na mnie z uśmiechem. To dodało mi odwagi i zapytałem o drogę do najbliższej miejscowości.

— Idzie pan właśnie w tym kierunku — dała odpowiedź — prosto tą drogą. Za pół godziny będzie pan na miejscu.

— Dziękuję — rzekłem — ale ja idę jeszcze dalej.

— Jest pan podróżnym?

— Tak, wybieram się do Włoch.

— Och, do Włoch? Ma pan tyle pieniędzy?

— Mam dwie nogi, dwoje rąk i dużo czasu. Za cztery tygodnie będę we Włoszech.

— Naprawdę? — odpowiedziała i zrobiła taką minę, jakby miała na języku jakiś smaczny owoc.

— A może jeszcze dalej — chełpiłem się — do Grecji albo do Turcji?

Skąd mi się wzięła odwaga mówienia, nie zdaję sobie sprawy. Wtedy w fabryce marzyłem o mojej dziewczynie tylko z daleka, nie zamieniłem z nią ani słowa.

A teraz opowiadałem o Italii, Grecji i Turcji jak o ulubionych miejscach wycieczkowych dzielnych czeladników rzemieślniczych.

Słuchała z zainteresowaniem, z twarzą rozjaśnioną. Pewnie marzyła też w samotności o dalekich krajach, ale praca więziła ją przy krosnach. Od tych krosien miała w czarnych, kręconych włosach kilka włókien, białych nici bawełny lub jedwabiu. I nagle z powodu tych włókienek doznałem przypływu odwagi.

— Jak ci na imię? — zapytałem.

— Róża — odpowiedziała wcale nie ciekawa mojego imienia.

— Róża, Róża! Różowo i lila jaśniały pagórki winogradowe, różowe i czerwono-złote chmury wieczorne budowały swoją drogę w nieskończoność! Opowiadałem jej o moich przeżyciach w czasie wędrówki, o szaleńcu i o chlebie w pyle ulicznym. Ale ciągle intrygowało mnie włókno w jej włosach, jak czarodziejska sieć omotała mnie nić budzącej się miłości. Wreszcie poprosiłem ją, aby się zatrzymała i zdjąłem jej z włosów nić drżącymi rękami, podczas gdy ona nachylała głowę z kobiecym wdziękiem.

Jeszcze nigdy nie zbliżyłem się ani nie dotknąłem żadnej dziewczyny miłośnie, chociaż serce moje do nich się wydzierało. Kobiety były dla mnie zawsze jak zjawiska, jak boginie, zawsze poza wszelkimi życzeniami i pożądaniami. Teraz, gdy zatrzymała się na moje życzenie dziewczyna i skłoniła głowę, abym mógł jej zdjąć nitkę z włosów i gdy tak blisko mnie stała, zaczęła powoli płynąć w mojej krwi fala rozkoszy, serce zaczęło mi bić mocno, czułem jego mocne uderzenia.

O pierwszej miłości napisano już wiele książek i hymnów. Na starość przypomnienie pierwszej miłości sprawia dużo radości. Ale pierwsza młodość, poszukująca miłości jest ciemna. Teraz piłem zapach, który unosił się z czarnych włosów, odurzający jak mocne wino. Byłem podniecony i wzruszony, czułem jak jej pulsująca krew przepływała przez moje ręce, w tym momencie słyszałem bicie dwóch serc, jej i mojego. Byliśmy jak jedna istota z tym samym krążeniem krwi.

Może Róża odczuwała to samo w tej sekundzie, gdyż patrzyła na mnie tak, jak jeszcze żadna dziewczyna na mnie nie spoglądała. Z jej ciemnych oczu biło spojrzenie opętanej wszechkobiecości, która zdolna jest niemożliwe uczynić możliwym, uszczęśliwić i pogrążyć równocześnie.

Prosiłem ją, aby użyczyła wędrowcowi jednej godziny wieczorem, poniżej nad rzeką. Mieliśmy pójść między winograd, w las albo w pole. Tam gdzie jest najpiękniej. Przyrzekła mi, że przyjdzie, gdyśmy się rozstawali na moście.

— Przyjdę — rzekła i znikła w uliczce.

— Ale prędko, prędko! — wołałem za nią.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Ten uśmiech był zawsze przy mnie. Powoli zapadała ciemność, która miasteczko otuliła. Długo stałem na starym moście, z palącą tęsknotą, ale nie zjawiła się żadna dziewczyna, żadna ręka nie pogłaskała mojej, żadne serce nie zabiło przy moim.

Nie wiem co jest milsze we wczesnej młodości: czy czekanie na ukochaną, słodki niepokój serca, utysiąckrotniona gotowość wszystkich zmysłów, albo gwałtowne, szybkie zaspokojenie pragnień pod rozgwieżdżonym niebem.

Zegary wydzwaniały godziny nocne, psy szczekały, na górach rozbłysły światła. Przelatujące pociągi wydawały łoskot i sapanie, z ogrodów rozchodziły się zapachy warzyw, a z rzeki chłód, ale Róża nie zjawiała się. Zegary wybiły północ, a dziewczyna nie przyszła. Jakiś nocny ptak zaczął wyśpiewywać swoją piosenkę, spóźniona fura przetoczyła się przez most, ale Róża nie dała znaku życia. Wreszcie zegary oznajmiły godzinę pierwszą w nocy, a jej nie było widać.

Gospody były już od dawna zamknięte. Nie pozostało mi więc nic innego, jak iść dalej w srebrną noc księżycową bez złości na Różę. Dlaczego miałbym się na nią gniewać? Ja, wędrowiec, na nią, którą praca związała z jej miejscem pobytu? Jej uśmiech towarzyszył mi w tej samotnej nocy. Przeżyłem z Różą tych kilka chwil. Jeden epizod. Tak, epizod, innej nazwy nie ma na to spotkanie.

Pagórki przeszły w góry, noc minęła i wstało słońce. W pełnym słońcu maszerowałem dalej ku Dunajowi. Wreszcie ujrzałem w dole Dunaj. Z mostu na rzece zobaczyłem pierwszą w moim życiu wydrę, brązową, ociekającą wodą, ze srebrną rybą w pysku.

Dalsza droga prowadziła wzdłuż rzeki. Na pagórku nad Dunajem leżało małe, stare miasteczko. Gdy przechadzałem się po tym pogodnym, południowym mieście ustalonego dobrobytu i oglądałem stare, często różnymi kolorami pomalowane domy z rzeźbionymi gzymsami, nagle przesłonił mi się obraz oglądany i zastąpiony został innym, wdzięczniejszym dla mnie. Przed pewną gospodą, w bramie łukowej, między kwitnącymi krzakami oleandrów, stała dziewczyna w bieli, która mi przypominała boleśnie niecałowaną dziewczynę z poprzedniej nocy. Ta sama wąska, delikatna twarz z ruchliwymi wargami, z dumnymi brwiami, i te same czarne włosy ufryzowane w koronę.

Wspaniale błyszczały czerwone kwiaty oleandrów, wokół pięknego zjawiska, dotykały poufale czarnych włosów. Ale tylko chwilę stała tak, w tej pozie, bo wnet jakiś głos zawołał: — Angelika! — ona odpowiedziała: — idę już — i znikła. Krzak oleandru kwitnął dalej, ale zabrakło mu najpiękniejszego kwiatu.

Angelika! Co za dziwne imię! Jedna Róża, druga Angelika! Świat jest pełen dziwów, a dziewczęta kwitną jak kwiaty przy drodze. Jak urzeczony tkwiłem przed gospodą i patrzałem za znikającą. Pozostałem jeszcze do wieczora w mieście, aby ją jeszcze raz zobaczyć. Naturalnie mogłem w każdej chwili wejść do gospody i zamówić sobie jedno piwo lub kwaterkę wina. I sama Angelika pewnie by mnie obsłużyła, jak to czyni codziennie z mieszczanami, którzy zasiadają za biało okrytymi stołami i piją swoje „jedno duże", „jedną czystą" lub kieliszek wina. Angelika tu i Angelika tam. Angelika dla wszystkich. Nie, tak łatwo nie chcę kupić szczęścia oglądania jej raz jeszcze. I czy byłoby to szczęście? Tam w bramie obok kwitnących oleandrów była moja Angelika, a tu w gospodzie już tylko usługująca, która ocenia wartość mężczyzny według napiwku, jaki jej wręczy . . .

Nie, nie, z tą Angeliką nie chcę mieć do czynienia. Opuściłem miasto i powędrowałem dalej ku mojemu celowi. Początkowo było mi smutno, ale wnet uśmiechnąłem się. Gdy zamknąłem oczy, widziałem dwie dziewczyny na zwierciadle mojej duszy: jedną z białymi nićmi na czarnych włosach, Różę i Angelikę wśród kwiatów oleandru.

Tłum. J. P.

POCHWAŁA LASU

NAPISAŁA I ZILUSTROWAŁA T. BOGUSZEWSKA









1.

Las zawsze jest jednako uroczy, choć co raz, co chwila to inny — pełno jest w nim życia i tajemnic — pełno istot dużych i małych i najzupełniej maleńkich — wszystko w nim żyje i pragnie żyć — i walczy i cierpi i kocha...

Wiosną. Wiosną jest zamglony i prześliczny. Pełen jakichś poszeptów, przylaszczkowych uśmiechów i niedomówionych obietnic!

Ciemne sylwetki świerków i sosen ożywiają gdzieniegdzie jasne, miodem pachnące plamy, baziami rozkwitłej iwy i wierzb — a te bazie takie są cudnie puszyste, srebrne i złote — rozbrzęczane pracowitą pieśnią pszczół leśnych, wczesnych motyli i much...

2.

Lato! Hojne, szczodre, rozrzutne. Nie żałuje nikomu zieleni soczystej, wesołych leśnych dzwonków, ni jagód ukrytych wśród traw.

W ciszy słonecznej spiekoty las kwitnie — złota mgła, chmurą unosi się nad wierzchołki sosen, by później pyłkiem jasnym przyprószyć krzewy i mchy.

Wiewiórki dokazują po konarach sosen, rude jak sosnowa kora, a lekkie, a zwinne jak wiatr! Dzięcioły niewzruszone w swej pracowitości, nie baczą na zmęczenie i upał — utkwiły szponami w chropawych pniach drzew i kują monotonnie: stuk, stuk, stuk — aż echo rozlega się w krąg!

Sarenki, ukryły się w leśnym poszyciu, w młodniku i po zaroślach. Czekają zmroku... Umilkną wtedy wilgi, kosy i szpaki. Mgła od leśnych stawów, przyczołga się aż tu — zrazu mienić się jeszcze będzie opalową tęczą, od barwnych blasków, które zapomniało zachodzące słońce — a później zblednie, rozprószy się w cieniu drzew, błąkać się będzie tu i tam i ówdzie — porwana w strzępy, subtelnie zwiewna, nikła i nieuchwytna...

Noc. Księżycowa noc. Wszędzie pełno jest ruchliwego blasku, i pełno cienia — który wiecznie drga...

...Tyle tajemnic w koło... Strach — w przedziwne kształty się przemienił: ciemne i niesamowite — czai się zewsząd na mnie jak jakiś upiorny, krew mrożący zwierz...

Jest zachwycająco i przerażająco równocześnie. Boję się. Uciekam. Tuż nad głową, rozległ się przenikliwy krzyk puchacza. Wiem: ...za chwilę zaśpiewa flet fauna, wabiącego swoje nimfeczki z ukrycia — wiem, chwila — a boginki leśne roztańczą się wzdłuż polany, wysrebrzonej promieniami księżyca...

Uciekam na przełaj — byle prędzej, byle prędzej — rozgarniam dłońmi leszczynowe gąszcze — roje maleńkich, złocistych gwiazd migocze wśród ciemnych liści — opadają na moją sukienkę, na moje włosy, na twarz — świetliki!

3.

Jesienią trzeba najraźniej biec do lasu — kiedy jeszcze w koło jest szaro, a dom nasz jest wyspą ciemną w olbrzymim morzu mgły. Gdy pierwsze promienie słońca dotkną wierzchołków drzew, mówimy już „dzień dobry" małym sosenkom, które tak grzecznie wyszły przed las na nasze spotkanie.

Wszystko się złoci, lśni i mieni. Las nie jest już lasem — a staje się czarodziejską bajką — cudem z nieprawdziwego zdarzenia!

Źdźbła traw i osty, gałązki świerków i sosen — to najprawdziwsze klejnoty, skrzą się najcudniejszą tęczą rozsypanych wszędzie diamentów.

Pająki tak oprzędły wokoło siecią las, że wejść do niego nie można: strzegą widocznie leśnego skarbu. Na srebrzystą ich sieć, rosa nocy nanizała perełki opalu. Nic z tego — mały kosmaty dziwolążku! Za dużą jestem muchą — jak na twój pajęczy apetyt — ale żal mi twej pracowitej, przecudnej koronki, którą związałeś gałązki dwóch bliźniaczych świerków — nie, nie zniszczę ci tego cudu! Daję nura pod pajęczynę, czołgam się po miękkich mchach wśród kłującej smereczyny. Chusteczka — „muchomorek" zlatuje mi z głowy — we włosach pełno mam wilgoci i pachnącego igliwia. Już! Przebrnęłam skrajny gąszcz — jestem wśród mrocznej głębi, pośród majestatu świątynnych kolumn — pni sosnowych. — Stoję chwilę bez ruchu, zasłuchana w poranny śpiew lasu. Oczy powoli nawykają do półcienia rozświetlonego gdzieniegdzie migotliwą smugą światła. Wreszcie! tak — już widzę: tu, tam i ówdzie, z mchu i spod zeschłych liści, wyglądają ciekawie w przeróżnych odcieniach, zamszowe czapeczki borowików. Tam dalej, złoci się całą gromadką kolonia „liszek", grzybków maleńkich, lecz pełnych wdzięku i kokieterii. Gołąbki, maślaki, osiczki, kozaki — rosną to samotnie, to całymi grupami, zależnie widocznie od ich osobistego gustu, chwilowego nastroju, temperamentów i ochoty. Rydze lubią się kryć w gąszcze młodziutkich świerków, ale i tam ich znajdzie moja okrutna zachłanność — tylko roześmiane białymi grochami po cynobrowych czapeczkach muchomory — uwielbiam bezinteresownie i... pozostawiam w spokoju!

Na leśnym zrębie pachnących żywicą i przejrzałymi owocami ostrężyn, wyciągam się leniwie, na miękkim posłaniu mchu. W krąg szumią złote paprocie — a głogi leśnej róży, płaczą szkarłatnymi łzami po dniach — które odeszły... Jesieni — jak cudną jesteś, jak cudną! Zdajesz się być kobietą, co u schyłku swoich najpiękniejszych lat, pragnie zatrzymać czas w biegu — nie może pogodzić się z myślą że wszystko przemija... Tak jak i ona, roztaczasz wokół siebie tyle przedziwnego czaru — tyle uroku i blasku — jakbyś chciała swą wyszukaną krasą ubłagać ostatnie, szczęśliwe, słoneczne dnie by nie odchodziły — by nie porzucały cię na pastwę wichrów złych i bezlitosnych, zimowych zamieci...

4.

Nie zawsze zimy leśne w srebrzystej swej puszystości przypominają futro polarnego misia — są i inne zimy, bywają nieraz takie szare i smutne bezśnieżne „przedzimia", które ciągną się tygodniami, niekiedy aż do połowy grudnia i dalej. Las traci wtedy pozornie swoją krasę. Odeszła już piękna jesień, poznać to choćby po brzozach rosnących na skraju lasu: niedawno jeszcze były podobne do gromadki strojnych, wysmukłych dziewcząt w sukienkach ze złotej koronki — a teraz stoją smutne, szare i żałosne... Ciemno fioletowe, subtelne ich gałązki szarpie wiatr — tylko gdzieniegdzie, migają jeszcze po nich bladym złotem listkowe serduszka.

Wokoło czuć gorzki, wilgotny zapach uschłych liści — skończyło się ich życie... Wśród tego liściowego cmentarzyska pełza gdzieniegdzie przyziemna, kosmata gałązka widłaku, ciesząc oko zawsze jednaką, jasno zieloną plamą.

Kępie wrzosów, jesienne przymrozki p
czerniły szorstkie badylki, i do cna zblich
wały drobniutkie dzwonki kiedyś liliowy
kwiatuszków. Ostrężyny łukami kolczasty
ciemno-pąsowych prętów, zdają się bron
garstki uschłych jagód, skarbu — który p
został im z lata. Nic z tego! i tak nie obron
smacznych ziarenek przed apetytem świe
gotliwej gromadki ptasząt leśnych, które n
bacząc na kolczaste zasieki — buszują w
soło wśród ostrężyn! Na plamie śniegu, któ
została z lekkiego nalotu, znaczą się ślad
drobniuteńkich nożynek; a przy nich de
katne smużki ogonków: to myszy leśne
widać nie tylko ptaszki znalazły sobie w
godną spiżarnię w drapakowych zaroślach.

Wszędzie — i tu, i tam i ówdzie — kiwa
się na wietrze brunatne bukiety poschni
tych, pokurczonych paproci — jakżesz in
są od tych dumnych, zielonych baldachimó
dla których chciało się latem zaczarow
w małego krasnoludka, by móc błądzić w
soło w ich cieniu. — Paprocie-księżniczk
zmieniły się w żebraczki leśne, zdają się b
samą tęsknotą, jednym ogromnym, żałosny
sziochem za czymś — co nigdy już nie z
istnieje...

5.

Aż nagle — któregoś dnia, las otula s
w białe dostojeństwo zimy: jest srebrzyst
złoto-błękitnie!

Mroźna zimowa mgła oszroniła najmnie
szą jodłową gałązkę! — Ale choć cisza bia
tak otula las, nie sądźmy aby życie w ni
musiało zapadać w zimowy sen, nie! Warstw
śniegu przykrywająca mech, zwiędłe liśc
i pachnące igliwie, staje się jak gdyby kar
białą, na której życie leśne wypisuje tajemn
cze swoje dzieje.

Chodźmy w las i patrzmy — lecz nie tylk
na opalowo skrzący się, rozsłoneczniony, t
czowy śnieg, — nie tylko na śliczne świerk
tulące się do siebie w puszystych okiściach
nie tylko na brzozy, w białych tiulowych we
lonach, ciche i przecudne — nie, patrzeć n
leży i na coś więcej: na duże, małe i najzu
pełniej maleńkie ślady nóg jakichś istot le
nych, które przeszły tu niewiadomo po co —
dziwne i tajemnicze, żyjące życiem niezna
nym nam i dalekim, ale równie dla nich wa
nym i drogim — jak nasze ważne i drog
jest nam. Trzeba wejść w kraj Białej Bajki —
a dowiemy się spraw, o których nikt nie wi
historii o których „nie śniło się filozofom" —
lecz trzeba mieć oczy umiejące patrze
i serce chcące rozumieć!

NIE WSZYSCY JEDNACY...

Ten wesoły — tamten smutny,
Ten oszczędny — ów rozrzutny,
Jeszcze inny siaki-taki
Bo nie każdy jest jednaki!

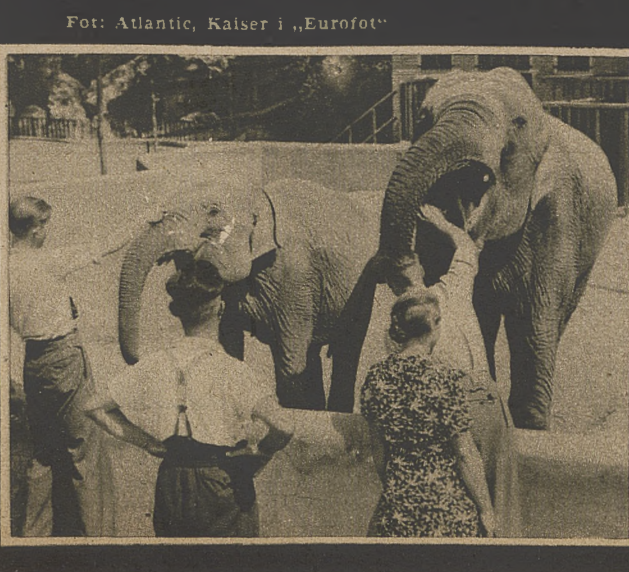
Słoń — choć ciężki i niezgrabny,
Chociaż brzydki, niepowabny,
Lubi humor, żarty lubi,
Ludzką się przyjaźnią chlubi...

Młode kawki — też niczego!
„Wiercipięty" — „na całego"!
Zabrać, schować, tu, tam — wszędy...
[Mogą z sroką iść w zapędy].

A natomiast marabuty,
Każdy — istny łeb zakuty!
Swoich marzeń snują stroty,
Istne — ptasie filozofy!

Fot: Atlantic, Kaiser i „Eurofot"

Tekst: Stef-Kra







RECITAL STEFAŃSKICH



[Z]nakomita para pianistów, która w niedzielę, dnia 3. XII. b. r. produkowała się w Błękitnej Sali Filharmonii.

Stefańskich prześladuje jakiś dziwny pech: nigdy zapowiedzianego programu w nienagannej całości nie wykonują. Zawsze coś z tych lub innych powodów odpadnie, co nieraz wywołuje niemiłe rozczarowanie, — bo zdarza się, że wielu słuchaczy przychodzi na recital właśnie i głównie dla usłyszenia tego pominiętego utworu, jako rzadziej słyszanego na estradach. Niedzielny recital fortepianowy Stefańskich nie odbył się pod tym względem pod szczęśliwszą gwiazdą. Odpadł Infantego Taniec andaluzyjski.

Stefańscy dość często w ostatnich latach dają się słyszeć na rozmaitych estradach. Nieraz już charakteryzowaliśmy cechy ich sztuki odtwórczej, która nieznaczne tylko odchylenia na poszczególnych recitalach wykazuje. Ludwika grę cechuje przewaga elementów technicznych nad emocjonalnymi, Halina łączy doskonałą technikę z dość subtelnym odczuciem, co kojarzy się z pewną głębią. Te wytyczne pozostają w głównym swym trzonie niezmienione. Można jedynie wyczuwać, że Halina pod sugestią Ludwika skłaniać się zaczyna ku coraz większemu akcentowaniu techniczych elementów.

Program recitalu ostatniego zbyt może przeładowany, a tym samym męczący. Mozarta Sonaty D-dur na dwa fortepiany — pierwsza część wypadła najlepiej, jako technicznie doskonale opracowana; słabiej nieco druga i trzecia. Natomiast Rondo Chopina zarysowało się wyraziście w dość indywidualnym ujęciu.

Przewagę solowych reprodukcyj nad duetowymi należy powitać mile, bo one istotnie koncertantom, bądź co bądź o odrębnej fizjognomii, dają stosowniejsze pole do zaprezentowania indywidualnosci. Halina Stefańska z zwykłą subtelnością i starannym przemyśleniem wykonała wspaniale Schuhmanna Toccate, Liszta Słowika i Rapsodię VI, oraz Chopina Balladę g-moll. Ludwik w utworach Chopina akcentował walory techniczne i dlatego te części utworów, które wymagają doskonałej techniki, zajaśniały życiem (Etiudy, Ballada F-dur, Scherzo h-moll grane w pewnych momentach za szybko).

Ludwik włącza zawsze w program recitalu swoje własne kompozycje fortepianowe. Na niedzielnym recitalu zaprezentował swoją I Suitę fortepianową z podtytułami Kołysanka lalki, Wspomnienie z Tatr, Grająca tabakiera, Lokomotywa, Ricercata, Marsz wschodni (spotykanymi dość często w twórczości fortepianowej). Drobiazgi te luźnie ze sobą złączone — mogłyby znaleźć inne efektowniejsze podtytuły — nie charakteryzują jeszcze indywidualności twórczej, która biegnie jeszcze torami zbytniej prostoty bez oryginalniejszej inwencji.

ROZMAITOŚCI

GDZIE JEST . . . NAJGŁOŚNIEJ?

„Ludzkość zabija się hałasem!" Do takiej konkluzji doszli [u]czeni, badający wpływ szmerów i odgłosów na system nerwowy współczesnego człowieka. Bo też hałas jest jednym [z] najbardziej niesamowitych objawów życia obecnych czasów. Nagłe odgłosy, jak np. ryk syreny lub pęknięcie opony samochodowej, wywołuje wzdrygnięcie się nawet osób [o] tzw. „żelaznych nerwach".

Pomiary dokonane w Berlinie wykazały, że najgłośniejszym motorem jest motor samolotowy, jednakże wytwarzany [przez niego] hałas rozpraszany jest szybko przez powietrze. Dalej idzie [kolej] podziemna. Pewna fabryka w Chicago miała atoli „[wy]ższą gorączkę hałasu" od kolei podziemnej, bo notowała [...] hałasu. Pociąg przy wyjeżdżaniu z podziemnego tunelu „na świat" staje się o 13° „cichszy".

Za najgłośniejszy punkt świata uchodzą wielkie Wodospady Niagary na granicy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady. Najciszej — według audiometru, spadającego do zera — jest w specjalnie skonstruowanej kabinie „absolutnej ciszy" na uniwersytecie w Utrechcie.

CO BY BYŁO — GDYBY ZIEMIA „UCIEKŁA" OD SŁOŃCA?

Gdyby skutkiem jakiejś katastrofy kosmicznej ziemia uwolniła się od siły przyciągania słońca lub siłę tę straciłoby [sło]ńce wówczas — jak wskazują smutne horoskopy uczonych — ziemia porzuciłaby natymiast swój ruch obrotowy [i w]yleciałaby jak z procy w nieskończoność wszechświata. Ruch obrotowy zamieniłby się w postępowy, co byłoby fatalnym w następstwach dla ziemskiego globu.

Tarcza słoneczna malałaby dla nas nieustannie, ciepło i światło zaczynałoby szybko zanikać wraz z oddalaniem się ziemi od słońca! Gdy wreszcie słońce wydawałoby się tylko jak jakaś odległa jasna gwiazda, której światło nie rozjaśniałoby już ziemskiego mroku, wszelkie życie dawno zamarłoby ze zimna na ziemi. Ten sam los czekałby ziemię, gdyby nagle, na skutek jakichś katastrof kosmicznych „elipsa biegu" zamieniła się w „parabolę ucieczki" od słońca. Wtedy świat nasz, uwolniony od „jarzma" słońca, popędziłby ku zagładzie we wszechświecie.

LUDOŻERCA — NA TRONIE!

Lat temu 50 mapy Afryki świeciły białymi plamami niezbadanych terenów. Głuche opowieści rzucały jeno światło na tamtejsze życie i stosunki „społeczne" tamtobylczych władców i ich „poddanych". Odsłoniły się już w ostatnich czasach mroki tajemnicy okrywające owe zakamarki Czarnego Lądu. Postęp i tam dotarł drogą odkryć i wynalazków.

W r. 1870 słynny afrykański podróżnik Schweinfurt, dotarł do „królestwa" słynnego „władcy" murzyńskiego w Mangbattu, Munsa. Chociaż miał apetyt na befsztyk z białego uczonego, przedkładając go nad „filet" murzyńskie, uląkł się „czarów" badacza i jego przyborów naukowych, zadowalając się tymczasowo, na oczach uczonego ucztą ze specjalnie utuczonego poddanego „Jego Królewskiej Mości", władcy Munsa. By godnie wystąpić przed uczonym i zaimponować mu — odprowadził go następnie w asyście wojowników do „granic panstwa" na . . . drewnianym koniu, boć innych nie ma w Mangbattu, jako, że złośliwa mucha tse-tse autentycznym, żywym rumakom żyć nie daje.

KĄCIK SZACHOWY NR 28

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Obrona łotewska

Ciąg dalszy.

Wariant IV, obrona C, subwariant b. kontynuowanie 1a, gra 2.

1. e2—e4 e7—e5	10. d3×e4 Gh3×f1
2. Sg1—f3 f7—f5	11. Ge2×f1 d5×e4
3. Gf1—c4? f5×e4!	12. Gf1—c4+ Gf8—c5![2])
4. Sf3×e5 Hd8—g5	13. Hd1—e2[3]) Sb8—c6[4])
5. Se5—f7? Hg5×g2	14. Gc1—e3 Hg2—g1+
6. Wh1—f1 d7—d5	15. He2—f1 Hg1×f1+
7. Sf7×h8 Sg8—f6	16. Ke1×f1 Gc5×e3
8. Gc4—e2 Gc8—h3	17. f2×e3 Sc6—e5
9. d2—d3[1]) Hg2×h2	18. Gc4—b3 Ke8—e7

Bilguer VIII wyd. analiza Behtinga wzmocniona od 12 ruchu czarnych przez wydawców Bilguera.

[1]) Lub 9. d4 H×h2 10. G—b5+ g6 11. S×g6 h×g6 12. G×g6+ K—e7 13. G—g5 (lub 13. b3 G×f1 14. G—a3+ K—e6 15. G×f8 H—g1+) S—d7 14. S—c3 c6 15. H—e2 G×f1 16. H×f1 G—h6 z doskonałą grą czarnych.

[2]) Ażeby ratować zamkniętego skoczka. Gdyby się to nie udało pozostają czarne z przewagą co najmniej piona.

[3]) W razie 12... S—c6, co podaje Behting, nastąpiłoby 13. G×f7+ K—e7 14. b3! itd. Bilguer wzmacnia tu analizę Behtinga.

[4]) Lub 13. G—e3 G×e3 14. f×e3 S—c6 15. S—f7 (inaczej grają czarne S—e5) S—a5 16. G—e6 K—e7 z przewagą czarnych.

[5]) Grając 13... H—g1+ mogłyby zdobyć czarne jeszcze jednego piona.

Wariant IV, obrona C, subwariant b. kontynuowanie 1a, gra 3.

1. e2—e4 e7—e5	8. Sb1—c3 d5×e4
2. Sg1—f3 f7—f5	9. Sc3—d5 Sf6×d5
3. Gf1—c4? f5×e4!	10. Hd1—h5+ g7—g6
4. Sf3×e5 Hd8—g5	11. Hh5×d5 Hg2—f3
5. Se5—f7? Hg5×g2	12. Wf1—g1 Sb8—c6
6. Wh1—f1 d7—d5	13. Wg1—g3 Hf3—f5
7. Sf7×h8 Sg8—f6	14. Hd5×c4 Gc8—e6

Bilguer VIII wyd.

Wariant IV, obrona C, subwariant b, kontynuowanie 2.

1. e2—e4 e7—e5	9. Hh5—f7+ Ke7—d6
2. Sg1—f3 f7—f5	10. Hf7×g8 Kd6×e5[5])
3. Gf1—c4? f5×e4!	11. Hg8×f8 Hh1—f3+[6])
4. Sf3×e5 Hd8—g5	12. Hf8×f3 e4×f3+
5. Gc4—f7+[1]) Ke8—e7	13. Ke2×f3 Sb8—c6
6. Gf7×g8! Hg5×g2[2])	14. c2—c3 d7—d6
7. Hd1—h5! Hg2×h1+[3])	15. d2—d4+ Ke5—f5
8. Ke1—e2 Wh8×g8[4])	16. Gc1—e3 Gc8—e6

Bilguer VIII wyd.

[1]) Białe osiągają tym ruchem remis.

[2]) Także i po 6... W×g8 7. S—g4 d5 8—h3 stoją obie strony mniej więcej równo.

[3]) W razie 7... g6 nastąpiłoby 8. S×g6 z wyrównaniem: 8... H×g6. 9. H×g6 h×g6 10. G—b3 (10. G×d5 W—h5! 11. S—c3 G—g7! 12. G×e4? G×c3 13. b×c3 W×e5 14. d3 d5) 10... c6 itd. Lub 7... g6 8. S×g6 h×g6 9. H—e5+ K—f8 10. H—f6 G—e7 11. H×h8 H×h1 i czarne mają wieczny ruch

[4]) W razie 8... g6?? zostałyby czarne zamatowane w 3 ruchach: 9. H—g5+ K—d6 (9... K—e8 10. G—f7 mat) 10. S—c4+ K—e6 11. H—d5 mat.

[5]) Niekorzystnym byłoby: 11... H×c1 12. S—c4+ K dowolnie 13. S—e3! i białe wymuszają mata.

[6]) Jeśli 11... H×c1 to 12. H×g7+ i białe mają wiecznego szacha.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 13

M. Havel (DSchtzg 1939)

Czarne: Kg5, Wh2, Gd2, Sg1, piony: g3, g6 (6).

Białe: Kc8, He4, Ge8, Sg7, Sh4 (5).

3-chodówka 5 6 11.

Mat w 3 ruchach.

Rozwiązanie studium Nr 12 (Kubbel):

1. S—e4 H—f3 2. f8 H H×f8 3. S—f6 g×f6 4. f4 dowolnie 5. e3+.

Partia Nr 49

Białe: Ks. Dadian z Mingrelien — Czarne: Dnorawa

Kijów 1896

Nieregularna

1. e2—e4 d7—d6	3. Sg1—f3 g7—g6
2. Gf1—c4 Sb8—d7	4. Sf3—g5 Sg8—h6

i białe schwytały hetmana w 2 ruchach!

Partia Nr 50

Białe: Ed. Hamlisch — Czarne: NN.

Wiedeń 1899

Nieregularna.

1. e2—e4 d7—d6	4. Sg1—f3 Gf8—g7
2. d2—d4 Sb8—d7	5. Gc4×f7+ Ke8×f7
3. Gf1—c4 g7—g6	6. Sf3—g5+

Czarne poddały się, gdyż po K—f6 król stracony, po K—e8 — hetman.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 220 61 ap. 64. Wydawnictwo Wielopole 1 tel. 135 60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

KĄCIK BRIDŻOWY NR 6

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Zarówno po kontrze jak i po rekontrze każdy z graczy ma jeszcze głos, czyli muszą nastąpić trzy „pasy“, aby licytacja była skończona.

A zatem, jeśli para AB dolicytowała się np. do 4 kierów i została skontrowana przez X (lub Y), może teoretycznie zaanonsować jeszcze np. 4 piki (lub 4 bez atu, 5 trefli, lub 5 kar), spodziewając się, że może tę inną grę łatwiej zrealizuje i — być może — nie dostanie kontry; jednakże wycofać się zupełnie z gry nie wolno.

Z drugiej znów strony, jeżeli X w naszym przykładzie skontrował 4 kiery, a Y, mając bardzo złą kartę, nie wierzy w możliwość przegranej ze strony AB, — może również zalicytować 4 piki lub inną, wyższą od 4 kierów grę i tym samym zanulować dotychczas trwającą zapowiedź 4 kierów z kontrą, wymierzoną przez X-a.

To samo po rekontrze.

Przy kontrze wszystko liczy się podwójnie, prócz premii za dograne szlemy i szlemiki tudzież koronki.

Przy rekontrze poczwórnie.

Ważne jest, że mnożą się tutaj również **punkty za lewy**, a więc np. 2 piki z **kontrą** liczą się jako 4 piki, czyli „dogrywaja“ (4 piki — 36 punktów).

Również 1 pik z **rekontrą** — to 4 piki, czyli mansza.

Dlatego też przeważnie kontruje się tylko te gry, które i bez kontry „dogrywają“ (4 piki, 4 kiery, 5 kar, 5 trefli, 3 bez atu).

Do rzadszych wypadków należy kontra na 3 w kolorze lub na 2 bez atu (trzeba tu już mieć bardzo pewną kontrę), a już prawie nigdy nie kontruje się 2 w kolorze (szczególnie pik lub kier): gra tak niska, że trudno o wpadkę, a z drugiej strony nawet najbardziej pewne obliczenie kontrującego może zawieść. Rozgrywający wygra, a co najgorsza, osiągnie manszę — której nie zdobyłby bez kontry.

Kontrując grę, która dogrywa nawet bez kontry, zasadniczo niewiele się ryzykuje: w razie nieudanej kontry, przysparza się przeciwnikom tylko podwojonego zapisu za lewy i „bien joue“, czyli kilkadziesiat punktów, co nie stanowi wiele w zapisie, chyba że skontrowany nadrobił lewy lub zrekontrował; natomiast jeżeli skontrowany przegra — zyskuje się podwójne kary za wpadki.

Kontrować należy na własną kartę i na własną odpowiedzialność, a tylko w razie silnej licytacji partnera można liczyć u niego na 1—2 lewy.

Zwracamy uwagę na to, by obliczenia swego, dotyczącego wpadki rozgrywającego — nie budować na fikcji.

Np. A gra piki. **X** skontrował. **A** wygrał i dzięki kontrze osiągnął manszę. Na wymówkę swego partnera (**Y**), że lekkomyślnie skontrował i przyczynił się do osiągniecia przez **AB** tak ważnej rzeczy jak mansza, **X** tłumaczy się, że 1) miał vicerenons treflowy, 2) **myślał**, że **Y** ma asa treflowego i że następne trefle będzie przebijał, co „położy“ **AB**. Tymczasem **Y** nie miał asa treflowego (bo go nie obiecywał) — i cały kruchy gmach rozumowania **X-a** runał. **X** powinien był pasować, a nie zagrywać kontry, która dogrywa przeciwnikom i powinien był zadowolić się ewentualną wpadką **AB**.

Kontrować należy z rozwagą i zastanowieniem.

Jeżeli z licytacji wynika, że licytujący maja dwa kolory, i jeżeli zatrzymali sie na kolorze dla siebie niewygodnym, — lepiej nie kontrować ich gry (majac nawet pewną kartę), gdyż zdradza się w ten sposób zły rozkład i samemu prowokuje przerzucenie na drugi kolor, przy którym może być wygrana.

Rekontruje się bardzo rzadko, a już do nielicznych wyjątków należy rekontra strony, będącej po pierwszej dogranej.

Wpadka ta jest wtedy bardzo kosztowna (bez jednej kosztuje 800 p.) i należy raczej nie ryzykować.

Kontra na jedno.

Kontra na „jedno“, czyli tzw. kontra amerykańska (taktyczna) nie jest zwykłą kontrą, a jest umówionym znakiem, na zasadzie którego **partner kontrującego obowiązany jest zalicytować swój najdłuższy i najlepszy kolor.**

Kontruje się na jedno po kolorze, zapowiedzianym przez przeciwnika wówczas, jeśli się **nie ma** tego koloru, a 3 pozostałe kolory są silnie obsadzone, lecz krótkie i zalicytowałoby się bez atu, gdyby nie brak przetrzymania w zapowiedzianym przez kontrpartnera kolorze.

Zważywszy, że niewiadomo, który z trzech pozostałych kolorów najbardziej odpowiadać będzie partnerowi, kontrujący żąda od niego, by wskazał swój najdłuższy i najlepszy kolor, a na pewno znajdzie pomoc.

Dla jaśniejszego wytłumaczenia kontry amerykańskiej podajemy przykład i omówimy role partnerów kontrującego i skontrowanego.

Licytacje rozpoczyna A i zapowiada 1 pik (ma w karcie 6 pików z asem, królem, damą, drugiego asa trefl, trzeci mariaż karo, 2 młódki kier). X — kontra (ma w karcie: 1 młódkę pik, czwarty mariaż trefl, as, walet, 10 i młódkę karo oraz as, król z dwiema młodkami w kierach).

Jak się mają zachować B i Y?

Partner skontrowanego (B) prawie zawsze pasuje, bo przecież kontra X-a jest nakazem licytacji dla Y-a, a nie dla niego.

Jednakże jeśli posiada własny kolor, który zalicytowałby, gdyby nie było kontry X-a — to może go zaanonsować; również jeśli posiada wprawdzie słabe atuty koloru proponowanego przez A, ale stosunkowo mocne boki — powinien powiadomić partnera o stanie swej karty przez zapowiedzenie „rekontry“.

Daje w ten sposób partnerowi A do zrozumienia, by kontrą X-a zbytnio się nie przejmował i że on (B) nie boi się licytacji ze strony Y-a, bo sam posiada boki.

Wreszcie, jeśli ma słabą kartę i dużo atutów partnera, a jednocześnie na zasadzie swej karty wyczuwa, że strona XY może mieć doskonałą grę w innych kolorach, wówczas może podnieść partnera na 2, aby w ten sposób utrudnić przeciwnikom porozumienie sie (przez tę licytację kontra X-a zostaje zanulowana i Y nie ma już bezwzględnie obowiązku licytacji).

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 6 („Brydż II“)

♠ 6.5.4.3.2.
♥ 10.9.8.7.6.2.
♦ W.10.
♣ —

B
X Y
A

♠ A.K.D.W.
♥ A.K.D.
♦ A.K.D.
♣ K.W.9.

Jaki rozkład kart musi posiadać X i Y, przy powyższym rozkładzie u A i B, by rozgrywając trefle X zrobił szlema?

Rozwiązanie problemu Nr 5

		X	B	Y	A
1	wyjście	pik D	pik 5	pik 6	pik K
2	„	kier 9	kier D	trefl 3	kier 2
3	„	trefl 2	trefl K	trefl As	karo 5
4	„	trefl 6	trefl 8	trefl D	kier 3
5	„	karo K	karo As	karo 6	karo W
6	„	karo 10	karo 2	karo 7	kier 4
7	„	kier 10	kier K	trefl 4	kier 5
8	„	kier W	kier As	trefl 5	kier 6
9	„	pik 8	karo D	karo 8	pik 2
10	„		karo 3	karo 9	kier 7
11	„		pik As		pik 3
12	„		karo 4		pik 4
13	„				kier 8



Na prawo:
— Wczoraj wieczór grałam z moim mężem Liszta przez dwie i pół godziny.
— A kto wygrał? Rys. J. Paluch — Kraków

— Wie pan, że dzisiejsze małżeństwa są dla mnie zagadką.

— A jednak widzi pan przecież, że tyle z nich jest rozwiązywanych.

*

— Słuchaj Iruś, co się stało z tym młodzieńcem, z którym byłaś tego lata zaręczona?

— A o którym ty myślisz?

*

— Powiedz mi Andziu, czy Karol prosząc o twoją rękę ukląkł przed tobą?

— Nie mógł tego uczynić, bo siedziałam mu wówczas na jego kolanach.

PRAWIE TO SAMO:

Hrabia Fuś widzi w czasie objazdu swych włości
chłopa, co by za jego mógł ujść sobowtóra.
— Skąd — w chłopie — myśli — tyle do mnie podobności?
Na ślepo nie powtarza form przecież natura? —
Zadziwiony się pyta: — Gospodarzu, może
wasza matka służyła kiedy w naszym dworze? —
— Matka, jaśnie wielmożny panie hrabio? Gdzie ta
matka!... Mój ojciec w dworze służył za „stangreta“. —

SIELANKA:

— Czemu za paskiem nosisz od książki zakładkę? —
— Ech, głupstwo: Kiedy wczoraj figlowałam z Władkiem
wsunął ją, by w stosownej nie zapomnieć chwili
odkąd zacząć ciąg dalszy miłosnej idylli...

W KABARECIE

Raz w kabarecie, w bufecie
poznałem dziewczę — o świecie!
Piła szampana do rana,
dała się głaskać — w kolana.
Wtem w pąsach cała — zadrżała,
wzięła mój portfel — i zwiała...

AUTORCE „OBRONY STAROPANIENSTWA“

Ma pani w pełni słuszność. Poco mąż kobiecie?
poco jej garnki, rondle, niewola i dziecię,
gdy bez balastu może dziś dziewuszka
najsłodsze miody życia zlizywać z paluszka?

Ma pani w pełni słuszność: Poco pannie wianek...?
Miły towarzysz lepszy, niż mąż, czy kochanek,
nic nie gorzej wykona, wszystko o co chodzi...
zaś rozrywka nie szkodzi — śpi się po niej słodziej.

Ma pani w pełni słuszność nawet i mężczyźnie
pani idea gładko do serca się wśliźgnie.
Chyba kiep teraz zechce się żenić skończony,
gdy może to samiutko mieć, także bez żony.

Ma pani w pełni rację. Zapijmy tę rację.
Na ochotnika pójdę z panią na kolację,
potem do pani. Jeśli zaś cało i zdrowo
z tego wyjdę, to może wrócę — daję słowo!

Stanisław Śnieżek

ZAGADKA ŹRÓDEŁ NILU

Był czas, gdy skromne damy nasze
już przezywały mnie mogiłą,
lecz dziś najadłem się gulaszem
i przepotężną tętnię siłą.

Mocnym i jurnym jak cholera.
Chęć mnie roznosi i rozpiera.
Podkowińskiemu bym do „Szału“
mógł dziś pozować za ogiera.

Ślicznie. Jest jednak w tym zawiłość,
skądże tu nagle krzepa taka?
— Czym zachorował znów na miłość,
czy tkwi w gulaszu duch rumaka?

ILLO TEMPORE

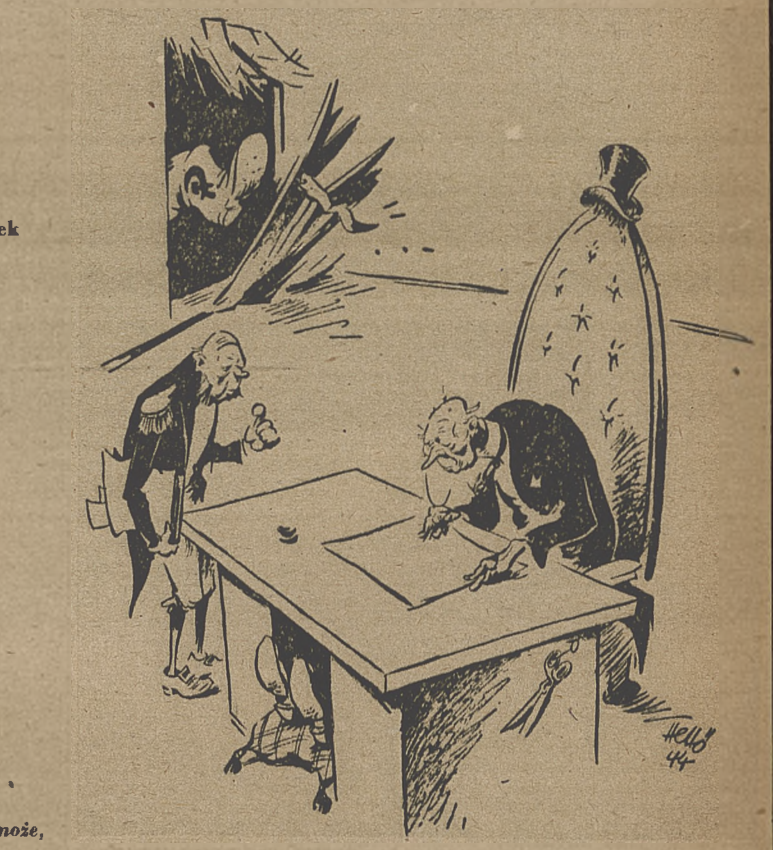
Rzekła raz Andromacha
do pięknej Heleny:
— Twój Parys w bitwie się stracha,
mój jest rycerzem bez ceny.
Nie rozumiem, jak można tchórza chcieć za gacha...
Helena ją z uśmiechem wiedzie do łożnicy
i dziko roztrzęsione okazuje łoże.
— Twój Hektor — prawi — w bitwach jest dzielniejszy może,
lecz Parys krzepszym chwatem jest pomimo wszystko.
Czy ty kiedy widziałaś po swoim Hektorze
takie pobojowisko?!

Wujcio z Komina



— Więc pan chce zostać moim zięciem?
— Nie, pani dobrodziejko! — Ja chciałbym tylko poślubić córkę pani.

Rys: Empp — Kraków



W ANGLII

— Ekscelensjo, zdaje mi się, że ktoś puka?
— Poprosić niech wejdzie!

Das Reich

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Moja żona żąda ustawicznie pieniędzy ode mnie.

— Tak? I cóż ona z nimi robi?

— Przyznam się, że nie wiem, bo jej jeszcze nigdy ani grosza nie dałem.

*

— W gruncie rzeczy, ta Janka, to bardzo dobra dziewczyna, nigdy się nie słyszy, aby źle o kim mówiła.

— Naturalnie! ... bo ciągle tylko mówi o sobie.

*

— To pierwsze włamanie oskarżonego? I nie przejmowała was żadna obawa przy włamywaniu się do kasy ogniotrwałej?

— Owszem, byłem w strachu... lękałem się, że kasa może być całkiem pusta.

*

— Mam kuzyna zamieszkałego od 50 lat w Krakowie, który nie widział jeszcze ani razu kopca Kościuszki.

— No, to musi być co najmniej jakiś dziwak?

— Ej nie... tylko jest ślepy.



— Czy piliście wczoraj z Janem bruderschaft?
— Mnie się zdaje, że to jednak był bimber!

Rys: Czecha — Kraków

KOBIETY CHORWACKIE







W kole: WIEŚNIACZKA Z OKOLIC KARLOVAC
W czasie doglądania bydła nie stoi z próżnymi rękoma, lecz skrzętnie pracuje nad robótką ręczną. Strój również ręcznej roboty dodaje uroku tej wcale na pastérkę nie wyglądającej postaci.

Fot: Eurofot

Nie dawne to czasy jak jeszcze każdy naród, każde plemię, każdy stan, niemal każdy zawód odróżnić można było po odrębnym stroju. Każdy strzegł zazdrośnie przywilejów swego stanu, a niższym stanom narzucał przepisy przeciwzbytkowe. Z pokolenia na pokolenie dziedziczono wraz z majątkiem i zwyczaje i stroje. Te ostatnie w dosłownym znaczeniu, bo niejednokrotnie trzy pokolenia chodziły w tych samych sukniach, zależnie od „zniszczalności" materiału, z którego były zrobione, a ozdoby, biżuteria, pasy, sprzęty przechowywano setki lat. Dopiero wiek XVIII wprowadził upowszechnienie stroju francuskiego wśród szlachty europejskiej, wiek XIX wśród mieszczaństwa, a wiek XX zrównał po względem strojów wszystkie stany i narody. Dawne odrębne stroje widzimy teraz tylko w muzeach lub w czasie uroczystości. Istnieją jednak zakątki, w których dotychczas przechowuje się tradycyjny strój w czystej postaci lub tylko szczątkowo. Do takich należą u nas górale. Góry i mało zaludnione nieurodzajne obszary mają to do siebie, że zachowują tradycję dłużej niż obszary uprzemysłowione, o dogodnej komunikacji. Chorwacja to właśnie kraj, gdzie tradycyjny strój u górala i chłopa jeszcze dzisiaj cieszy oko cudzoziemca swoim bogactwem, barwnością, oryginalnością. Zwłaszcza kobiety lubują się w błyskotliwym, bogato ozdobnym stroju narodowym, gdyż jednolity europejski strój nie daje tej emocji co strój dawny. Nie poślednią rolę w zachowywaniu strojów swoich przodków odgrywa także i to, że sporządzony jest z własnych środków, własnej wełny i własnoręcznie utkany, a poza tym można go odziedziczyć i przekazać swoim następcom i nic nie straci na aktualności. Na co dzień i do pracy oczywiście strój nie jest tak piękny i nie nowy. Dopiero w dni świąteczne i w czasie targów w miasteczku wyciągają kobiety chorwackie co mają najlepszego, aby się pokazać i przydać blasku swojej urodzie.

Powyżej: DZIEWCZĘTA Z PROWINCJI POSAWINA
w swoich bogato wyszywanych sukniach na przedstawieniu pod gołym niebem. Mężczyźni we współczesnych ubraniach stanowią kontrast między teraźniejszością a przeszłością. Na lewo u góry: **STRÓJ NARODOWY SŁOWEŃSKI.** Serdak skórą na wierzch przypomina żywo nasz strój góralski. Różnica polega jedynie na odmienności motywów ozdobnych. Poniżej: **MŁODE BOŚNIACZKI.** Strój wieśniaczek z okolic Mostaru wyróżnia się swoją oryginalnością.



Poniżej: STROJE KOBIET Z PÓŁNOCNEJ DALMACJI
do złudzenia podobne do huculskich, nie wzorami wyszywań, ale kształtem, należą do najpiękniejszych w Chorwacji.



W dole: NA TARGU W ZAGRZEBIU
Wśród jednolitych strojów miejskich stolicy Chorwacji odbija wdzięcznie strój wieśniaczek chorwackich

